Rok 5 Kraków, dnia 9 kwietnia 1944 40 gr

Ilustrowany
OLSKI



Jakież piękne pisanki!

Fot: Eurofot

Straż nad morzem

NISZCZENIE MIN BRYTYJSKICH WYRZUCONYCH PRZEZ FALE MORSKIE NA BRZEG



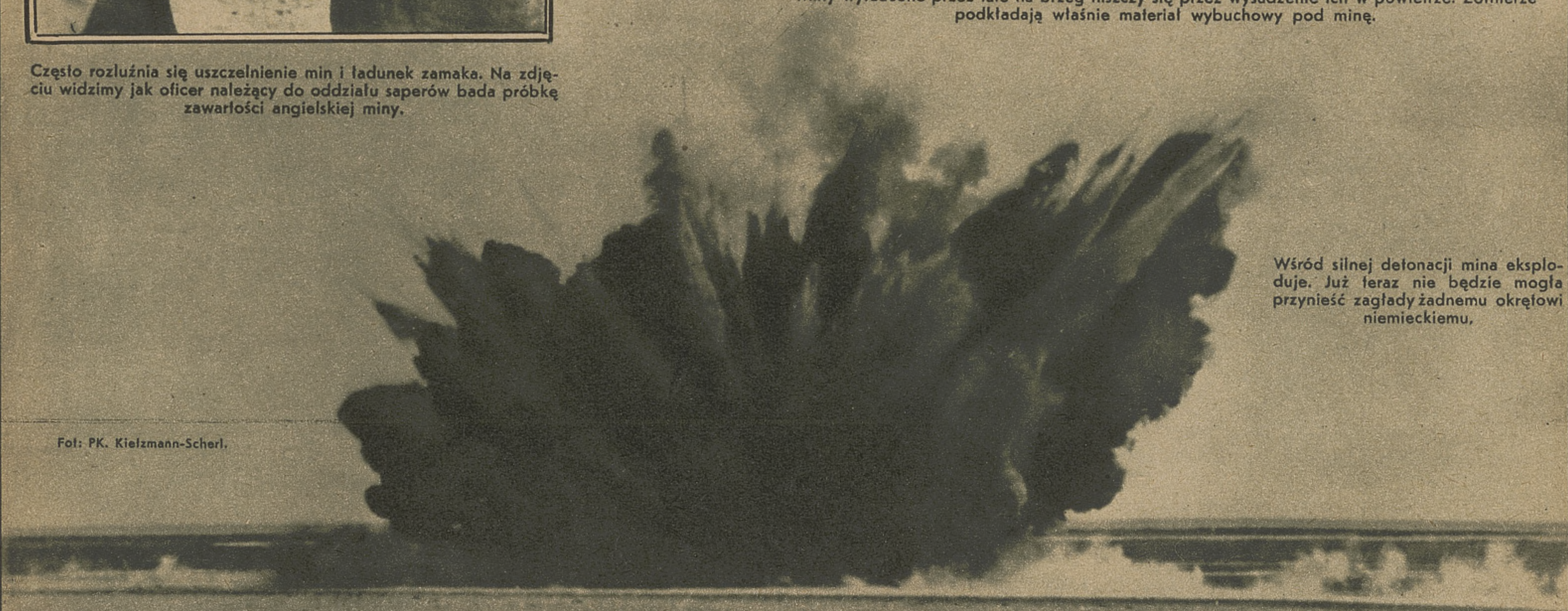


Często rozluźnia się uszczelnienie min i ładunek zamaka. Na zdjęciu widzimy jak oficer należący do oddziału saperów bada próbkę zawartości angielskiej miny.

Niemiecka marynarka wojenna wciąż wykrywa i niszczy pola minowe założone przez Brytyjczyków na wschodnich wodach Atlantyku. Poza tym specjalne oddziały przeszukują wybrzeże, gdyż każda burza zrywa kotwice i wyrzuca na brzeg miny. Na górnym zdjęciu widzimy sześć takich „jajek szatańskich" zaniesionych przez fale na brzeg.



Miny wyrzucone przez fale na brzeg niszczy się przez wysadzenie ich w powietrze. Żołnierze podkładają właśnie materiał wybuchowy pod minę.



Wśród silnej detonacji mina eksploduje. Już teraz nie będzie mogła przynieść zagłady żadnemu okrętowi niemieckiemu.

Fot: PK. Kielzmann-Scherl.



Na lewo:
I tylko lej w ziemi świadczy, że na tym miejscu unieszkodliwiono minę.

Na prawo:
Reszłki brytyjskiej miny wysadzonej w powietrze.



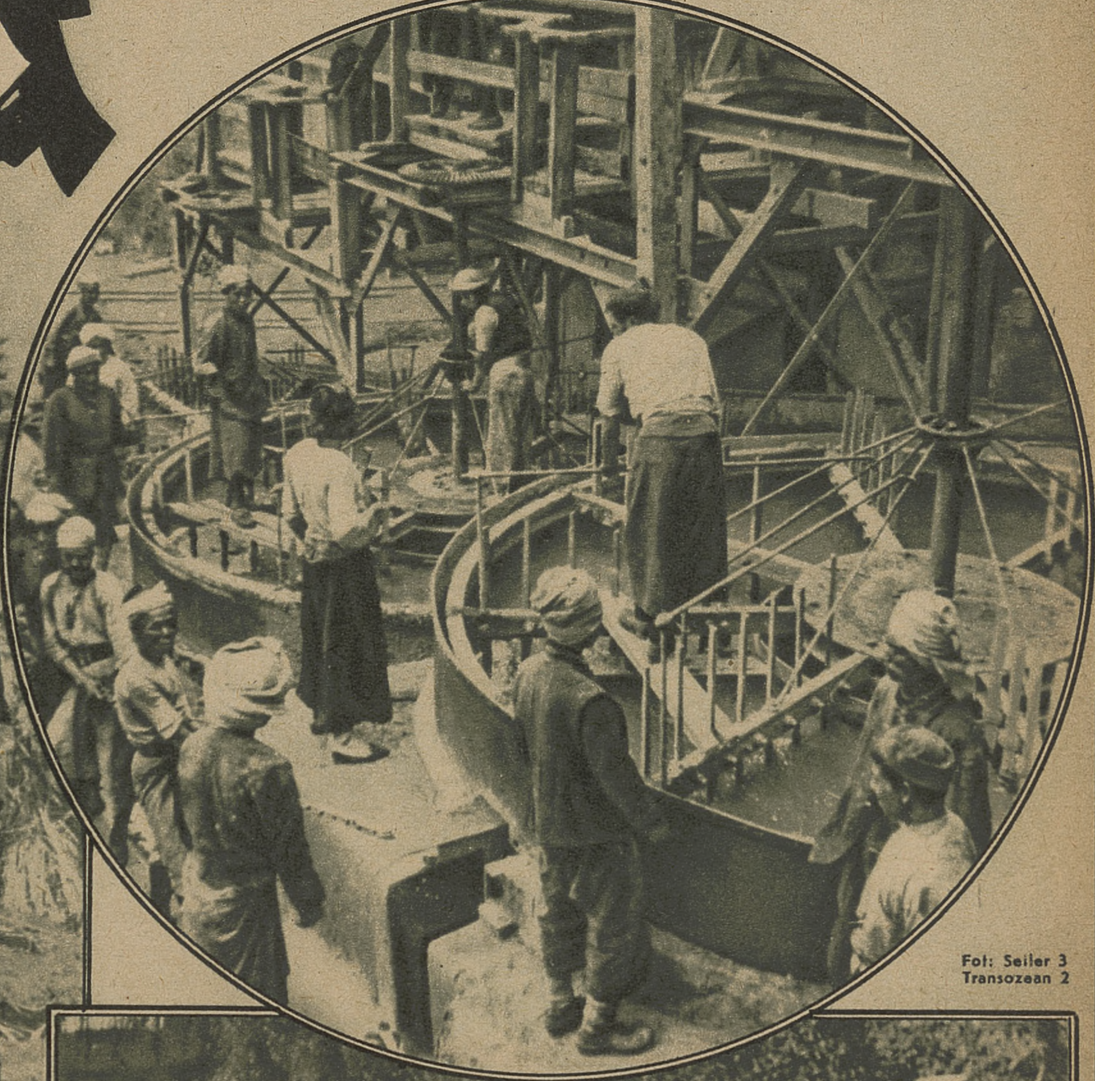
BURMA



Poniżej:

KRAINA RUBINÓW

Oprócz obróbki metali, a w szczególności cyny, wydobywanie szlachetnych kamieni stanowi w Burmie poważną gałąź przemysłu. Najczęściej natrafia się tu na rubiny, które wypłukuje się z piasku w specjalnie w tym celu urządzonych płuczkach.



Fot: Seiler 3
Transozean 2



Powyżej:

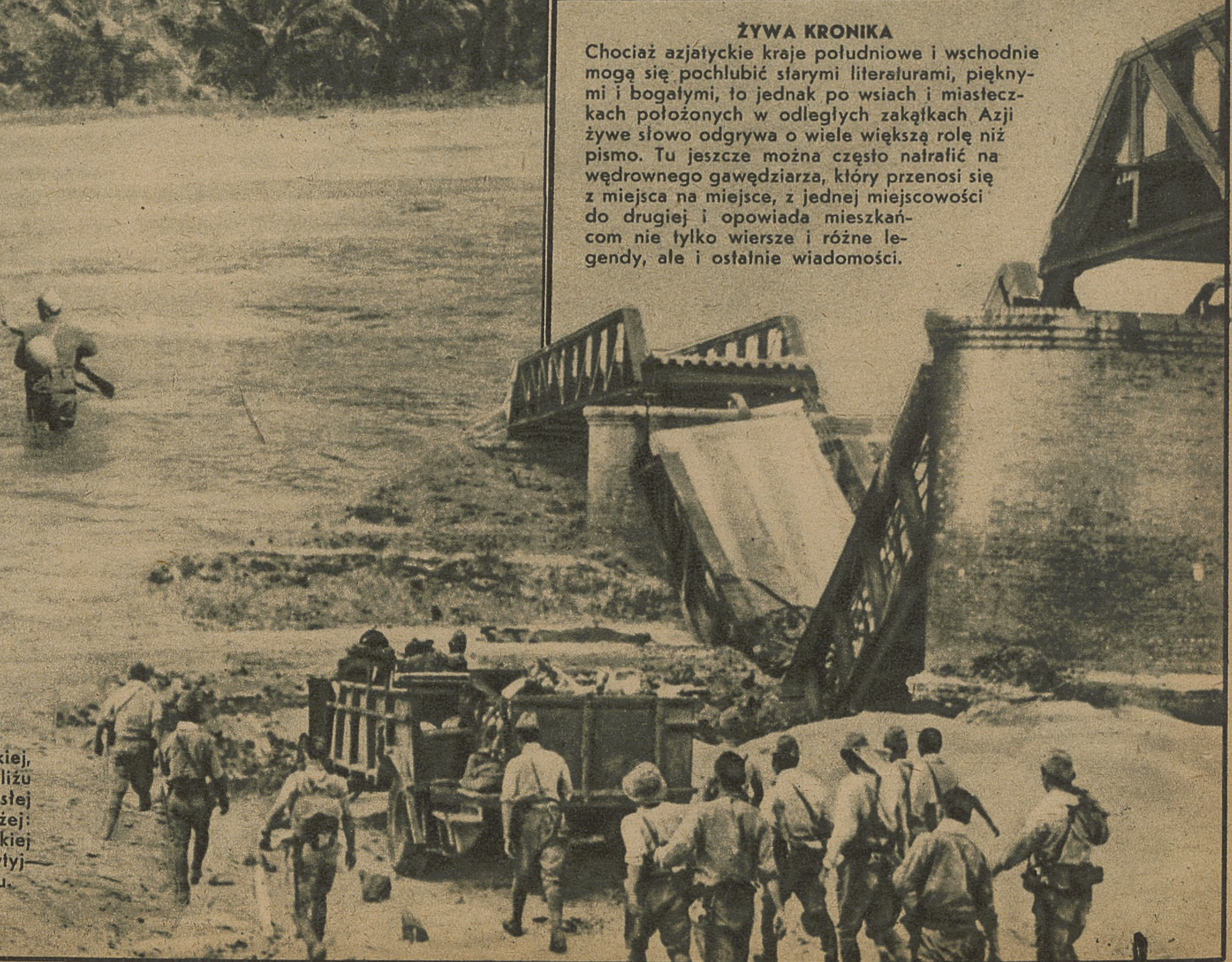
ZBIÓR RYŻU

Burma jest przeważnie krajem górzystym, pokrytym lasami. U podnóża gór w dolinach, na wielką skalę kwitnie uprawa roli. Klimat Burmy zimą mroźny i suchy, w lecie ciepły i wilgotny sprzyjający specjalnie uprawie ryżu, którego zbiory wynoszą tutaj rocznie trzy miliony ton.



ŻYWA KRONIKA

Chociaż azjatyckie kraje południowe i wschodnie mogą się pochlubić starymi literaturami, pięknymi i bogatymi, to jednak po wsiach i miasteczkach położonych w odległych zakątkach Azji żywe słowo odgrywa o wiele większą rolę niż pismo. Tu jeszcze można często natrafić na wędrownego gawędziarza, który przenosi się z miejsca na miejsce, z jednej miejscowości do drugiej i opowiada mieszkańcom nie tylko wiersze i różne legendy, ale i ostatnie wiadomości.





JAPOŃCZYCY POSUWAJĄ SIĘ NAPRZÓD

Według komunikatów głównej japońskiej kwatery cesarskiej, japońskie siły zbrojne przekroczyły rzekę Chindwin w pobliżu granicy burmeńsko-indyjskiej i pozostają obecnie w ścisłej współpracy z jednostkami hinduskiej armii narodowej. Powyżej: Japońska piechota przeprawia się przez rzekę w burmeńskiej dżungli. — Na prawo: Nawet mosty wysadzone przez brytyjczyków nie są w stanie powstrzymać japońskiego marszu.



Na lewo:
„DWÓR" ZASZCZYCA WIDOWISKO OSOBIŚCIE . . .
Odtwarzający postacie historyczne Karola IV, królowej Marii Luizy i księcia de la Paz, w asyście dam dworu, obserwują beztrosko przebieg walki.



Od niepamiętnych czasów największą popularnością z szeregu wielkich imprez publicznych, o charakterze w danym już wypadku narodowym, cieszą się w Hiszpanii słynne na cały świat walki byków.

Walki owe wzięła gorącokrwista Hiszpania w spadku po starożytnym świecie, bo znała je już bohaterska Grecja obok igrzysk Olimpijskich, kultywowała je zwłaszcza Tessalia, uprawiano je w Rzymie także jako „miłą dla oka" odmianę zapasów gladiatorów za czasów cesarstwa, jakkolwiek cesarze i papieże często ich zakazywali.

Jeżeli chodzi o zaaklimatyzowanie się walk byków na terenie Hiszpanii, stały się one niemal jej „krwią i kością", trudno też wyobrazić sobie Hiszpanię bez pojęcia toreadora, areny cyrkowej z powalonym na niej bykiem, rozentuzjazmowanych tłumów i zalotnie do toreadora uśmiechniętych senoritas . . .

Znosił walki owe wprawdzie Karol IV. (*1748 †1819) ale wznowił je ze względów politycznych Józef Bonaparte, brat Napoleona I. Najświetniejsze zresztą tego rodzaju widowiska urządzali zawsze sami królowie z okazji różnych uroczystości. W Madrycie co lato odbywały się pod koniec XIX wieku pod wysokim protektoratem panującego wspaniałe walki byków na korzyść szpitali, na Plaza de Heros, który jest cyrkiem otoczonym siedzeniami na podwyższeniach i szeregiem lóż. Podobne amfiteatry znajdują się niejako „obowiązkowo" we wszystkich większych miastach Hiszpanii, bo jest to „samo przez się zrozumiałą" ambicją ich mieszkańców. Jakżeby mogło być, iżby większe miasto hiszpańskie bodaj raz w swej historii nie gościło w swych murach jakiegoś słynnego pogromcy byków, który przecież byle gdzie nie będzie walczył! Żeby podobną ambicję pojąć we wszelkich najdelikatniejszych nawet jej odcieniach, na to potrzeba być Hiszpanem...



Powyżej:
„OSTATNIA DROGA" — W HONOROWYM ZAPRZĘGU . . .
Bohaterski żywot byka dobiegł kresu... Eskortują go na miejsce... obłupienia ze skóry 3 osły, wśród braw tłumu opuszczające opustoszałą arenę.

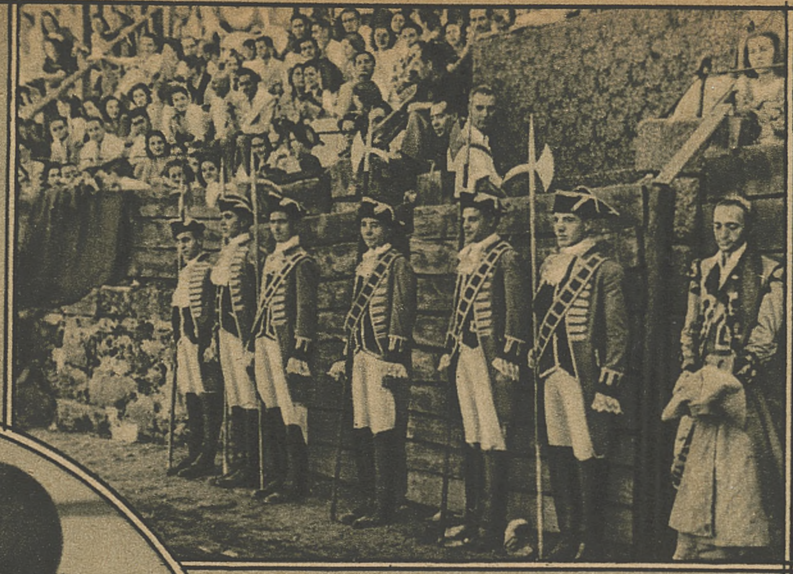
Wieleż takich głośnych igraszek z rozwścieczonym bykiem oglądały tłumy Hiszpanów w olbrzymim cyrku w Sewilli, zbudowanym na wzór starożytnych, z kamienia, mogącym pomieścić grubo ponad 20.000 widzów! Zapaśnicy, występujący w walkach, według „historycznego" podziału tworzą trzy grupy: Pierwsi, to pikadorzy, walczący konno, w dawnym stroju hiszpańskim, zbrojni w twardy pancerz i bardzo długą dzidę, zadającą początkowe, lekkie rany zwierzęciu. Drudzy, to chulos, albo banderilleros, piesi szermierze, odziani w różnobarwne wstęgi, mający za zadanie drażnić wszelkimi środkami byka. Ostatnia grupa ma nazwę matadorów czyli rzeźników, a ubiór ich jest białym — bronią zaś dziryt, którym ostatecznie dobijają byka. W takim właśnie „przepisanym" składzie i w „historycznych" ubiorach zapaśników jako też wszystkich widzów na imprezę przybyłych, odbyła się niedawno walka byków we wsi podmadryckiej, Escorial, a epoką reprezentowaną w ubiorach odżyły czasy Karola IV, czyli schyłek XVIII i początek XIX stulecia. Zapaśnicy przybyli uroczyście w pochodzie, który otwierał „wysoki" urzędnik zarządu gminnego.



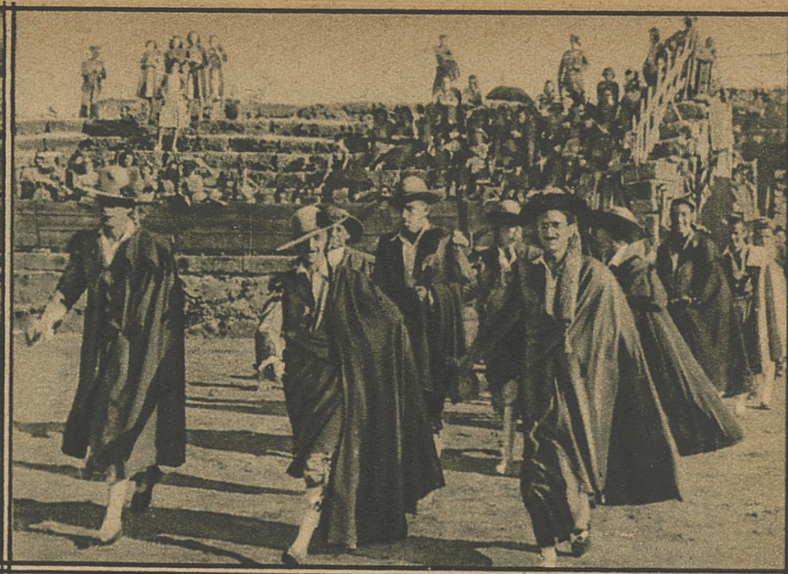
W STARODAWNYCH STROJACH I NA STARĄ MODŁĘ . . .
Kto żyw i zdrów — podąża na wyczarowane z mroków przeszłości, prawdziwe „historyczne" widowisko, walkę byków, hiszpańską modą — konno we dwoje.

W pierwszym rzędzie, jak dyktowały stare przepisy, maszerowali dojeżdżacze, picadores, z lancami w dłoniach stający w starohiszpańskim stroju rycerskim naprzeciw zagrody byków. Witają ich owacje nieprzejrzanych mas ludzkich, mieniących się dziwnymi ubiorami dawno zamierzchłych dni . . . Teraz oczom zgromadzonych prezentują się, z furkotem wstążek igrających na wietrze, postępujący banderilleros. Każdy z nich trzyma w ręku długą, jasną szarfę jedwabną, ustawiając się wzdłuż bariery otaczającej arenę. Wiwaty tłumów wzmagają się. Wylatują wysoko w powietrze nakrycia głowy, mienią się w słońcu połyskliwe wachlarze dam... To na cześć właśnie wkraczających głównych szermierzy, espadas. W pięknych strojach, z obnażonym mieczem w prawej ręce, z muletą czyli małym prętem zakończonym kawałkiem jasnej materii w lewej, zajmują miejsca na arenie. Chwila ciszy i znowu gromkie okrzyki tłumów, gdy u wjazdu do cyrku pojawia się... najautentyczniejszy dwór J.K.M. Karola IV! Gwar powoli przycicha, bo oto na dany znak wpuszczają na arenę byka. Ogłupiały mrowiskiem ludzkim byk zatrzymuje się niemal na środku areny. Już! Wachlarz „królowej" pochylił się w dół! Walka rozpoczyna się! Dojeżdżacze wykonują pierwszy atak: starają się lekko ukłuć byka w łopatkę. Dalej dziesięciu do dwunastu picadores atakuje bez przerwy. Teraz banderilleros uciekają się do małych pałeczek, 60 cm długich, z haczykami na końcu, ze strzępkami papieru zwisającymi z drzewca. Śrubowym ruchem wpychane w sierść na karku byka powodują zapalenie się papieru, co powoduje rzucanie się byka na pierwszego napotkanego przeciwnika. Teraz głos ma toreador-espada. Nagle byk runął naoślep na espadę. Szybki jak błyskawica cios espady... Byk chwieje się, bluzgnęła krew... Za chwilę matadores wywloką z areny martwe cielsko byka . . . Widowisko „historyczne" — skończone. **Stef. Krasiński**

Na prawo:
GWARDZIŚCI MIEJSCY — POSTRACH TŁUMÓW! . . .
Stróże ładu i bezpieczeństwa publicznego, „zbrojni" w autentyczne halabardy, trzymają straż honorową przed „lożą dworską" J.K.M. Karola IV.



Zdjęcie drugie na prawo:
BOHATEROWIE DNIA. W UKOSTIUMOWANIU DAWNEJ EPOKI
Pikadorzy, banderilleros i matadores, w malowniczych strojach z początku XVIII wieku wkraczają na arenę cyrku w Escorial. Publiczność zajmuje już miejsca.





PIERWSZE KROKI I PIERWSZE OWACJE
Wypuszczony z chlewka byk, wyrusza na arenę swych triumfów, zmagań i jakże niewesołego końca swych dni...



Fot: Eurofot



Powyżej:
ZNUŻONYM DALEKĄ DROGĄ, POKRZEPIĆ SIĘ WYPADA!
Arena wabi emocją zapasów, z daleka więc nawet zjeżdżają się widzowie, gasząc po drodze swe pragnienie na końskim grzbiecie. Kto wie, czy i „w owym czasie" nie było tak samo . . .

Na prawo:
DRAMATYCZNY MOMENT WALKI
Rozwścieczony byk „nadział" na rogi „składany stolik", za którym schronił się w chwili groźnego natarcia banderillero. Espada stara się skierować na siebie uwagę byka.

Poniżej:
BACZNOŚĆ! BYK ATAKUJE!
Podrażniony czerwoną płachtą i „muletą" byk stara się dosięgnąć uchodzącego przed nim toreadora. Wystarczy potknięcie się, by znaleźć się pod rogami zwierzęcia.



JUŻ SKRYŁA SIĘ SZPADA TOREADORA . . .

Zagadka

napisała Marianna

Musiał dwa razy łączyć się, by wreszcie posłyszeć po tamtej stronie telefonicznego przewodu głos Eweliny. Rozdrażniło go to, znużyło tak, jak zaczynało go męczyć i nudzić wiele innych, mniejszych jeszcze drobiazgów.

Miał wszystkiego dość. Czuł przesyt, nudę i bezsens egzystencji. Nie interesowało go nic, nie pociągało, nie bawiło. Nawet Ewelina . . .

Nie zrywał znajomości jedynie dlatego, że gdyby to zrobił, nie zostałoby mu już nic. Ta kobieta nie reprezentowała bynajmniej ani celu jego życia, ani uczucia, ani specjalnych jego zainteresowań — tylko pewne jego przyzwyczajenia, które dla niego miały jeszcze przecież jakąś wartość.

— Hallo! Bruno, to ty? Jakże się cieszę! Przyjdziesz jak zwykle o ósmej?... Ach! wiesz, małe ostrzeżenie . . . Karol zaczyna urządzać mi sceny . . . Boję się, że za dużo już podejrzewa i nasze szczęście może się smutno skończyć . . .

— Ach! Ewelinko! — ziewnął do aparatu — stajesz się nudna z tymi niezmiennymi ostrożnościami. Niczym nie odbiegasz od pospolitego typu mężatki zdradzającej z całą pełnią świadomości i również z pełnią różnorodnych a nieuzasadnionych obaw, strachów, czarnych przeczuć.

— Bruno! Jesteś bez serca! Zamiast dodać mi odwagi i pocieszyć, ty mi jeszcze urągasz . . .

— Czy możesz w ogóle przypomnieć mi jakąś sytuację, w której ja bym ci nie urągał? Nie bądź śmieszna! Sama sobie chyba zdajesz sprawę, że twojemu mężowi jest całkiem wygodnie ze mną jako przyjacielem domu. Nie myśli o rozwodzie, choć dużo się domyśla . . .

— Ja właśnie tego jednak się obawiam. Naprawdę nie jest wesoło . . .

— Przypuszczam, moja droga, że stwarzając fikcyjne „niebezpieczeństwa" i panikę, chcesz dostarczyć mi silnych wzruszeń, podniecić. Tak sobie mogę logicznie tłumaczyć ten twój niepokój, te alarmujące listy pisane w rozhisteryzowanej ostrożności na maszynie i bez podpisu . . . Ale, słuchaj, Ewelino, dla mnie nie ma już silnych wrażeń. Jestem uodporniony na wszystkie. Nieczuły. Przestałem umieć cieszyć się, smucić, przerażać . . .

— Cóż to za specjalna chandra dzisiaj, ty zblazowany poeto!? Wiesz, czytam po raz dziesiąty już chyba twoje „Kobiety z daleka i z bliska" i uważam, że powieść jest świetna. Nie dziwię się, że uczyniła cię sławnym w przeciągu kilku dni po wyjściu z druku. Dlaczego teraz nie stać cię ani na jedno zdanie? Czy ostatecznie weźmiesz się do tej nowej powieści obiecanej dla redakcji „Tygodnika", czy nie?

— Ale skądże! Mowy nie ma! Nie postawię nawet pierwszej dużej litery, pierwszego zdania w pierwszym rozdziale, pierwszego tomu! . . . Ale przypomniałaś mi tę przykrą sprawę. Muszę pójść do redaktora, przeprosić za zawód, przykrość . . . Pójdę zaraz, a po ósmej będę u ciebie. Mąż wyjeżdża, prawda?

Gdy zatrzaskiwał za sobą drzwiczki automatu ulicznego, na przeciwległym trotuarze ujrzał smukłą, drobną złotowłosą panienkę mocno w niego wpatrzoną. Pomyślał, że jest raczej rzeczą przyjemną być tak bajkowo przystojnym, postawnym, a przy tym sławnym powieściopisarzem uwielbianym i oblęganym przez kobiety, będące jednocześnie tematem i natchnieniem jego trzytomowego dzieła — a rzeczą dotkliwie nieprzyjemną jest na pewno fakt niemożliwości wzruszenia się na widok każdej szykownie umalowanej buzi i szeroko rozwartych w podziwie ocząt . . .

Redaktor Tymianowski pracował jeszcze mimo późnej godziny nad świeżym montażem razem ze swoim rozświergotanym, kolorowym stadkiem sekretarek, stenotypistek, urzędniczek.

— Ach! Drogi mistrz wreszcie przyszedł! — roztkliwił się redakcyjny tyran witając przybyłego — cóż z naszą umową? Przyniósł nam pan coś ładnego, coś choćby niedługiego, na parę numerów w odcinkach?...

— Nie. Nic nie mam. I wątpię . . .

— Może warunki nie odpowiadają? Przecież zgodzimy się jakoś panie Bruno. Kilka tysiączków chętnie dołożę. Kto panu da więcej? Krzyżołowski wyda ślicznie, elegancko, książkowo, ale czterdziestu nie da nawet Wierzbickiemu . . .

— Ależ warunki doskonałe mi pan daje! I u nikogo innego na pewno nie będę wydawał! . . .

— Bo widzi pan, panie Bruno, to jest tak: „Tygodnik" niedługo dopiero wychodzi . . . Były wielkie wkłady, bo miałem gotówkę, na nic pieniędzy się nie żałuje; papier, format, ilustracje pierwszorzędne. Ale poczytności nie mamy. Ani popularności. A gazeta musi zacząć się opłacać. Jedna, choćby krótka powieść pana Brunona, w odcineczkach, ładniutko, z winietkami . . . i tysiące egzemplarzy idą . . . podwójny nakład. Stajemy na nogi, nabieramy rozmachu i „Tygodnik" wszyscy czytają, choćby potem już sobie pisała tylko jakaś tam początkująca literatka... Więc co do honorarium dla pana, na pewno nie będziemy się targować . . .

— Chętniebym służył panie redaktorze, ale szkoda mówić o tym. Nie napiszę teraz nic. Nie potrafię. Nie znajdę tematu . . .

— O kobietach! Panie Bruno! Pan tylko o kobietach! To dla pana! Nic innego. Pisał pan „Kobiety z bliska i z daleka". Niech pan pisze „Kobiety stąd i stamtąd". Może zły tytuł? Pan jest niezrównany . . . Dla nas . . . no co? Kobieta, jak kobieta . . . A pan znajdujesz typy, podpatrujesz sytuacje . . . No, co tu gadać . . . talent . . .

— Cóż z tego, kiedy dziś nie napiszę nic. Nawet o kobietach. Tym więcej może nie o kobietach. Temat wyczerpany. Właśnie poznałem „kobiety z bliska" i poznaję je już „z daleka". Nieciekawe. Zawsze jednakowe. Można je tak łatwo przejrzeć, odgadnąć.

— W swojej powieści przedstawiał pan inaczej.

— Ach, wtedy miałem natchnienie i szczęśliwe złudzenie, że warto się niemi zająć, że naprawdę są ciekawe, zawsze inne. Tyle im czasu poświęcałem, entuzjazmu, studiów, myśli. Po to, żeby napisać szczęśliwie powieść i . . . nieszczęśliwie przekonać się, że bezsensownie pochlebiłem im tylko. Zawsze są takie same. Wszystko można przewidzieć: Wychodzą zamąż, potem zdradzają, potem męczą siebie i wybranego ponurymi horoskopami a męża-rogacza wzmożoną przewidującą pieszczotliwością. Pisują listy szyfrem, albo maszynowym pismem, bez podpisu i płaczą przez telefon.

Może zdawało mu się tylko, ale w koło zgrupowanych blisko siebie główek młodych biuralistek przeleciało jak lekkie tchnienie jedno nazwisko: — „Ewelina Wichertowa". . . . Zgadywały, że mówił myśląc o tej kobiecie właśnie? Więc był aż tak sławny, że do najbardziej szczegółowych danych znano jego życie prywatne? Zmarszczył się jednak od razu, bo w takim razie i Karol Wichert może rzeczywiście być tak dokładnie poinformowany i może wreszcie się zniecierpliwić . . .

— Nie, redaktorku! Na razie nie piszę nic. Może kiedyś. Przeżyję coś ciekawego. Znajdę jakiś problem, choćby pozory problemu, jakąś zagadkę, o rozwiązanie której zechcę się pokusić i wtedy od razu powieść będzie w kilka dni napisana.

Znad jednego biurka w rogu sali podniosła się złoto-blond główka i wielkie źrenice wejrzały na Brunona . . . Jakieś szczęście do blondynek. Tamta na ulicy była także . . . Nawet podobna . . .

— Niepotrzebnie pan redaktor się zastrzega. Nigdzie indziej nie będę drukować, tylko w pańskim „Tygodniku". Na pewno. Przecież obiecałem. Do widzenia panu! Do widzenia paniom!

Odchodząc zdał sobie sprawe, że napisałby nową powieść, gdyby tylko zaczął myśleć intensywnie, płodnie myśleć. Dać z siebie ten wysiłek i zainteresowanie. O czym jest myśleć, gdy wszystko się już przeżyło, pojęło, gdy nic nie trzeba zdobywać, bo samo wchodzi w rękę, ani o nic martwić, bo troski cofają się same? Jakieś wyśnione, fantastyczne zdarzenie! W dzisiejszym wieku postępu, zmaterializowania, trzeźwości, udogodnień, ułatwień, praktyczności?

Wstąpił na czarną kawę do cukierenki naprzeciw gmachu redakcyjnego. Przed ósmą wyszedł stamtąd i skierował się wprost na Aleje. Karol Wichert wyjeżdżał co trzeci dzień wieczorem do Myślenic w swoich bankowych sprawach.

Z drugiej strony ulicy patrzały na Brunona wielkie oczy blondynki. Rozśmieszyło go to. Czy to była ta pierwsza, czy ta druga, a może już trzecia z kolei. „Dziś dzień blondynek" pomyślał — „Ewelina czwarta".

Myśl o Ewelince bynajmniej nie powstrzymała go w chęci dogonienia nieznajomej. Jednakże dziewczyna zorientowawszy się, jaki obrał kierunek, poszła naprzód, prędko, aż stracił ją z oczu. Dochodząc do eleganckiego gmachu przy Alejach, doznał wrażenia, jakby był obserwowany. Był przyzwyczajony do zainteresowania, ciekawych spojrzeń tłumu. To towarzyszyło mu stale. Ale teraz w mrokach wieczoru, w zacisznej dzielnicy — w okoliczności, w której najmniej chciał być zaobserwowany.

Przypomniał sobie słowa Eweliny, że mąż od niedawna nosił się z myślą skorzystania z usług prywatnego detektywa, by dowieść żonie jej nielojalność wobec siebie. Niby niepoważnie miało to być powiedziane, ale Ewelina od tego czasu boi się, by mąż naprawdę nie zaczął przemyśliwać nad ewentualnością rozwodu. Rozwód z bogatym bankierem, oficjalnie z jej winy, odpowiednio głośny w konsekwencji skandal towarzyski i wyrzeczenie się uwielbianego dziecka, które zostanie przyznane ojcu . . . Ewelina wolała nie ryzykować . . .

Gdyby tak powiedział Ewelinie o swoim wrażeniu, że czyjś śledzący wzrok odprowadził go aż do progu jej domu? . . . Wsuwając swój klucz do zatrzasku drzwi wchodowych, przewidywał w jak rozszlochanym, pesymistycznym nastroju będzie i bez tej wiadomości Ewelina. „Wiem na pewno, że miałem poprzedników, manipulujących również co trzeci wieczór w tych drzwiach, tym samym właśnie kluczem. Przypuszczam jednak, że w każdym wypadku, każdy z nich więcej sobie obiecywał po takiej wizycie . . ."

Stojącego w mrocznej klatce schodowej nie opuszczała pewność, że jest znów obserwowany. Drzwi za sobą zatrzasnął, nikt za nim z ulicy nie wszedł — więc nie był to ten sam osobnik. Ktoś drugi. Czyżby Wichert zaangażował całą policję?

— Niech pan nie zatrzymuje się, panie Brunonie — usłyszał wyraźny szept, gdy zamierzał zapukać umówionym sposobem do drzwi Wichertów na pierwszym piętrze — niech pan idzie wyżej . . .

Z mroku wychyliła się smukła postać kobieca i lekko, aczkolwiek stanowczo wzięła go pod ramię:

— Mam do spełnienia delikatną misję, bardzo dla pana ważną, ale chodzi w pierwszym rzędzie, by pan uwierzył, że jestem mu życzliwa. Jest pan śledzony. Pan Wichert nie pojechał do Myślenic. Tu jest list do pana od pani Wichertowej —

Nic nie mogło go przekonać, że list pochodził faktycznie od Eweliny. Ale właśnie to, że był bez podpisu, maszynowym, bezosobistym drukiem — było dowodem najistotniejszym: „Zdaję całą sprawę sprytowi i życzliwości pani I. Merif oddawczyni tego listu. Musisz zaufać jej bezwzględnie. Nie mogłam wcześniej zapobiec twojemu przyjściu. Dowiedziałam się poufnie, że Karol dziś finguje tylko swój wyjazd. Zostaje w mieście i zamierza wraz z przedstawicielem policji udowodnić mą winę. Widać, chce rozwodu. Spodziewają się twojej u mnie wizyty. Pani I. Merif mieszka piętro wyżej. Jest nam życzliwa, wie o wszystkim. Spędzisz u niej parę kwadransów a odwrócisz ode mnie raz na zawsze ciążące mi już bardzo podejrzenia. Zawsze twoja . . ."

Jak na Ewelinę i rodzaj sytuacji w jakiej go pisała — list był nadzwyczaj rzeczowy i przytomny.

— Chodźmy — pociągnęła go nagląco za rękaw młoda kobieta — oni są pewni, że pan jest u pani Wichertowej i nieomieszkają zapewne naocznie się co do tego przekonać. Pani Wichertowa uda wówczas zbudzoną niespodziewanie po nocy . . . Strasznie rozespaną . . . Zdumienie, oburzenie . . . i zupełna niewinność. Pan zejdzie później i detektyw ujrzy, z jakich drzwi pan wychodzi i z którego piętra. Już widzę jego minę . . . — zaśmiała się dźwięcznym, bardzo sympatycznym głosem.

Szedł za nią zupełnie niespeszony niebezpieczeństwem kompromitującej sytuacji. Był tylko zły, że narzucono mu pewne wytyczne, których musi przestrzegać, i, że inicjatywa leży w ręku nieznanej kobiety a on wystąpić musi w tych okolicznościach jako bezwolny, bierny, dostosowujący się do wymagań chwili.

— U mnie jest bardzo brzydko. Wynajmuję tylko jeden mały pokoik u właścicielki tego mieszkania. Niech pana to nie zraża! . . .

Gdy stanęła w smudze światła płynącego z oświetlonego korytarza, zobaczył wreszcie wyraźnie nieznajomą. Była drobna, szczupła, w skromnym zimowym płaszczyku popielatego koloru . . . a gdy zwróciła ku niemu twarz! . . . Ach! To była ta blondynka zauważona na ulicy. Te same wielkie, w wyrazistej oprawie oczy . . .

— My widzieliśmy się już, prawda? — zapytał impulsywnie.

— Może — blado odpowiedziała. Prędziutko wepchnęła go nieomal do ciasnego pokoju, zmieszana dziwnie podejrzliwym spojrzeniem gospodyni, wychylającej się z jakichś drzwi do przedpokoju.

To, co przeżył w maleńkim pokoiku piętro wyżej, nad mieszkaniem Wichertów, to czego doznawał i o czym myślał w konsekwencji tych paru kwadransów — było najdziwniejszą przygodą w całym jego życiu, bynajmniej nie ubogim w przeżycia. Każdy szczegół, każdy nastrój, każda minuta dobrze utkwiły mu w pamięci . . .

Pokój był mały, zawalony tandetnymi, starymi meblami, w oknach nie było firanek, bezpretensjonalne, iście pensjonarskie łóżko, żadnych serwetek, poduszeczek, figurek i innych drobiazgów, cechujących zawsze pokoje kobiece. Robił wrażenie zgoła niezamieszkałego . . . Ale widocznie uboga lokatorka spodziewała się wizyty, bo małe biureczko założone było talerzami z przekąskami, sucharkami i ciastami. Przyrządzone apetycznie, wytwornie, ze smakiem.

— Niech pan się nie dziwi: Pani Wichertowa dbała o to, by czuł się pan tu tak dobrze, jak u niej . . . Pamiętała, by nie był pan głodny . . . Poleciła mi nawet zakupić wszystkie wieczorne gazety . . .

Poczuł się naprawdę (o dziwo!) jak u siebie. Zamiast spodziewanego rozdrażnienia, wypływającego z groteskowości sytuacji — zupełny spokój, odprężenie. Puste ściany biednego pokoiku i pełen prostoty strój młodej jego mieszkanki, swobodne jej obejście, stworzyły może przez kontrast właśnie z otoczeniem, do jakiego był przyzwyczajony — miłą atmosferę. Cieszył się niejako, że oszczędzona mu będzie konieczność uspokajania żalów i obaw Eweliny, że spędzi wieczór inaczej, niż zwykle. Intrygowała go i niecodzienna sytuacja i własna w niej rola i twarz nowopoznanej kobiety.

Była bardzo młoda, wcale nie taka ładna, jak zdawała się na ulicy. Piękne, puszyste włosy koloru płynnego złota nadawały twarzy miękki, dziewczęcy niemal wyraz. Oczy były głębokie, myślące i jakby w tej chwili specjalnie skupione.

— Nie uwierzę, by pani Wichertowa miała właśnie dziś tyle przytomności, by myślała o przyrządzaniu dla mnie wymyślnych przekąsek, tym więcej, że nigdy tak tkliwie o mnie nie dbała i będąc u niej sam musiałem fatygować się do spiżarki . . .

— Nie mówiłam, że pani Ewelina przyrządzała to wszystko. To już moja koncepcja i małe pół godzinki roboty. Ale mam polecenie i obowiązek niedopuszczania, by pan był głodny, albo znudzony, czy zły . . .

Głodny już nie był, gdy wspólnie wykańczali pierwszy półmisek kanapek jeszcze lepszych, niż na to wyglądały. A przecież było ich więcej. Znudzonym wyjątkowo się nie czuł, a gdy patrzał w łobuzersko uśmiechnięte oczy pani Merif — nie był nawet zły . . .

Nieznajoma jadła z równym jak on apetytem. Może nigdy nie miała dla siebie tak smacznej, obfitej kolacji? . . .

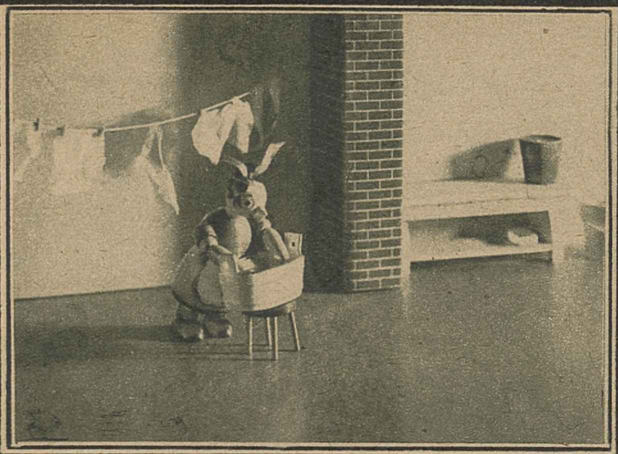
— Ach! Zapomniałabym! Przecież mam również trunki! Nie wiem, co pan pija? Kobieta nigdy się nie nauczy, jakie wina podaje się w której porze dnia i do jakiego posiłku. Może pan sobie coś jednak wybierze? . . .



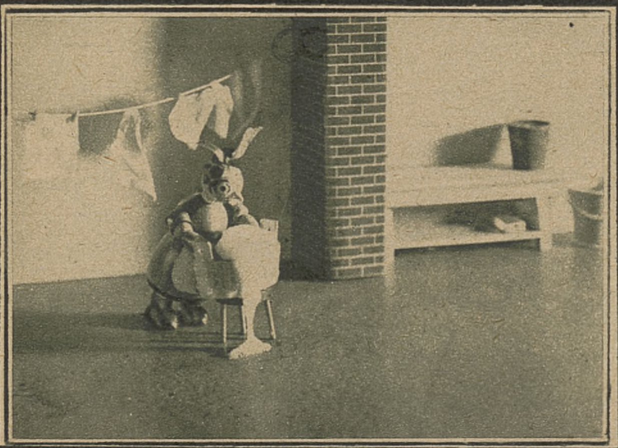
MILI PRZYJACIELE — Fot: P.B.Z.

Ciąg dalszy nastąpi

DRAMAT W PRALNI



Przedświąteczne, wielkie pranie . . .
Nawet lala nie próżnuje!
Bierze mydło w sztywne rączki,
Swe sukienki prać próbuje . . .



Trzeba ładnie być ubraną,
Będzie w Święta gości wiele!
Prędko, prędko . . . Szuru, szuru . . .
Pierwsze święto już w niedzielę!



Przedwojenne mydło chyba!!
Tyle ślicznej piany daje . . .
O jej! Pełno też na ziemi!
Lala w pracy nie ustaje . . .



Czas ucieka, chwile lecą . . .
Rośnie ciągle biała góra,
Ledwo lali głowę widać!
To dopiero awantura . . . ! !



Hej! Na pomoc! Gwałtu, rety!
Gdzie z wanienką lala stała,
Nie ma lali . . . z góry piany
Kokardeczka wyglądała!!

Fot: Schostal

BIURO PISANIA PODAŃ

Biuro pisania podań. Nie byłoby w tym nic ciekawego — takich biur jest setki — gdyby nie biała tablica, śmieszna i rażąca błyszczącą powierzchnią i świeżym, czerwonym napisem na zaniedbanej szarości muru. „Biuro pisania podań koncesjonowane" — oczywiście — „właściciel: Jan Dołęga" i „godziny urzędowania od 8-mej do 4-tej".

To wszystko. A biuro?

Mały pokój o zakratowanym oknie, ścianach niekoniecznie równoległych, na których niewprawne nawet oko obserwatora, wyczytać mogło historię kilku pokoleń, w których życiu sceny obyczajowe z rzucaniem rondli włącznie nie były rzadkością. Świadczyły o tym podejrzanie brunatne plamy po zawiesistych sosach na ścianach.

Ale były to historie przebrzmiałe i zamierzchłe. Dziś było tu biuro pisania podań. Właściciel — jak wyżej. I o sosach nie było mowy. A że były ślady wyżarte wiekiem i dobrą wolą uwiecznienia się poprzednich mieszkańców w formie tak oryginalnej i nieprawdopodobnej? Tak — to było dziwaczne. Ale, czy mało rzeczy dziwacznych na świecie?

Jan Dołęga, nie był co jasne, życiowym niedołęgą. Nomen omen i tu sprawdzało się cudownie, co ma miejsce we wszystkich regułach, o ile nie mamy do czynienia z wyjątkiem, co zasadniczo zmienia postać rzeczy. Mówiąc językiem Jana, właśnie Dołęgi, ta wyjątkowość z literatury czyni wspaniałe i w skutkach zapewnione podanie. A ponieważ Jan prócz zdolności szybkiego pisania na maszynie i redagowania podań był a raczej bywał filozofem, ciekawym wyjaśniał o ile i dlaczego cenniejsza jest jego praca niż każdego innego pisarza, nie wyłączając Mickiewicza.

Ale tego przepięknego dnia kwietniowego, nie biuro podań i nie praca zawodowa spięła zmarszczkami wąskie czoło Jana. Oczy, ukryte za szkłami okularów, wędrowały daleko i stawały się nieobecne w pokoju ścian nierównoległych, jak go, w nastroju lirycznym będąc, nazywał.

Ewa! I czy to nie zrozumiałe? Idąca wiosna i ciepłe światło gasnącego już o tej porze słońca, które zarumieniło wstydem oblicza zaplamionych ścian, cisza panująca po godzinach urzędowania i Jan z zaplecionymi na karku rękoma, nieobecny i rozmarzony.

Przecież wiosna, kwiecień i Ewa . . .

A że były i podania? To w tej chwili nieważne. Tak. Nie słyszał nigdy jej głosu, nigdy nie zwróciła się do niego ani jednym słowem, a jednak nie mógł o niej nie myśleć. Niebieski płaszcz, kapuza obrzeżona czarnym, lśniącym futerkiem, jasne, pszeniczne włosy, tak żywo przypominające lato i słońce. Ale inne niż dziś. Letnie i upalne. Nie umiał sobie wyobrazić jej oczu. Jej oczy? Z pewnością będą ciemne o granatowym błysku. Tak!

Pukanie silne i energiczne i o tej porze nieoczekiwane.

— Proszę! — Machinalnie wstał z krzesła i podszedł kilka tych odmierzonych, krótkich kroków w kierunku drzwi, jakie stawia się w miejscach ciasnych, o ograniczonej powierzchni.

Drzwi otwierają się szybko i w mózgu Jana rodzi się niczym nieuzasadniona myśl:

— Może Ewa?

— Dzień dobry, a może, szanowny panie — dobry wieczór! Ja się na tym nie znam, — i niski, zdyszany głos gościa, ściągającego kapelusz ruchem nerwowym i śmiesznie wątłym przy przytłaczającym ogromie przybyłego, zadrgał w pokoju o zamierających światłach.

A potem szybkie spojrzenie małych, świecących oczu i szybkie pytanie:

— Czy pan mnie zna?

— Nie. Nie mam przyjemności, niestety, a czym mogę służyć . . .

— To cudownie — już spokojniej i pewniej prawie zaśpiewał przybyły — to prawie wspaniale, czy pan nie uważa?

— Jeżeli panu tak wygodniej. Ale czy podanie do . . .

— Nie. Nie podanie. Pan pozwoli, że spocznę. Tak. Cudownie . . . i to że pan mnie nie zna. Choć to dziwne — cień rozczarowania przemknął po twarzy i cienkie blade wargi nieoczekiwane w masce człowieka o proporcjach rzeźnika z urodzenia, stały się na moment linią — ale tak lepiej. Pan wybaczy. Sprawa poważna i że się tak wyrażę: intymna. — Przymknął oczy, smakując to cudowne, dziwaczne słowo — intymna i . . . dyskrecja?

— Tak. To jasne, ale czym mogę szanownemu panu . . .

— Nie tak prędko. Wie pan, ja się lubię zastanowić. Bo ostatecznie sprawa jest poważna i . .

— Intymna. Tak. Wiem. I jestem gotów służyć, o ile to będzie w mojej mocy. I gdyby pan był łaskaw . . .

— Powoli. Widzi pan, sprawa poważna i wymagająca dyskrecji. I mogę dobrze zapłacić i nie podanie, a . . . Bo ja jej nie znam. Pan to rozumie. I ja, ja nie powiem, że kocham, ale ja nie umiem tego odpowiednio wyrazić i chcę, żeby myślała inaczej niż to jest możliwe patrząc na mnie. Tak, to nie będzie podanie.

— Tylko?

— List. — Niespokojny korpus gościa uspokoił się na chwilę, odpoczywając po wysiłku samoobnażenia. — Więc, widzi pan, list. List do niej, kobiety, którą kocham. Czy pan się śmieje?

— Nie, wyjątkowo dziś — nie. Ale pan wybaczy, to sprawa intymna i . . .

Przed oczyma Jana stanęła Ewa. Czy ten człowiek mógł mieć podobne przeżycia? Ten pan, który zdawał się każdym słowem przepraszać wszystkich a jednocześnie grozić wypełnionym dobrze portfelem i żądać dyskrecji, bo „wie pan — sprawa". . .

— Więc chodzi mi o napisanie listu. Nie powiem panu nazwiska. Imię też niekonieczne. Napisze pan list. Sądzę, że nie sprawi to panu trudności. Może być podobne do podania, tylko napisane cieplej. I niech będzie niezwykłe, ładne. Pan pewnie nie jest poetą, ale . . . tak o miłości, i że jest ktoś, kto o niej ciągle myśli i że prawie kocha. List. Czy pan się godzi? — ręka o krótkich palcach, czerwonych i śmiesznych szukając równowagi, usiłuje na próżno zapiąć rozpięte, grube futro.

— Więc mam napisać list do niewiasty. Pan jej nie zna. Na kiedy?

— Przyjdę jutro. I proszę pamiętać kochany, list. Cena?

— Przyjdzie pan jutro — pomówimy. Dobrze?

— Do widzenia!

Drzwi zamykają się z trzaskiem i dopiero teraz zauważa Jan Dołęga, że w jego biurze jest prawie ciemno. Nie zauważył tego przedtem. Wyniosły, pokaźny brzuszek, krótkie palce, których lepkość ciepłą i niesmaczną wyczuł przy uścisku i list o — miłości. List do Ewy. Ale nie do jego Ewy kochanej i nieznanej.

Jest godzina piąta. Teraz chwilę spaceru i może ją spotka. Najczęściej spotykał ją o tej porze. Nie miał odwagi przyznać się, że nie pilnością powodowany przesiadywał w biurze po godzinach urzędowych, które w tej chwili wydało mu się okropną, obmierzłą norą. Wyczekiwał na Ewę. Czekał na dawkę swego codziennego szczęścia. I wydawał się sam sobie śmiesznym.

Spojrzenie rzucone przez niezbyt czyste okno i na twarz wypłynął uśmiech. Idzie Ewa. Więc dziś też ją zobaczy, będzie mówił do niej bezgłośnie, i będzie szczęśliwy. A może przeprosić i podejść do niej i powiedzieć jej wszystko? Przecież nie będzie pisał idiotycznych listów i nie będzie pisał podania o miłość.

Szybko włożył kapelusz, zdenerwowanymi palcami zapiął płaszcz i wyszedł. Zgrzyt zamykanych drzwi, wilgotne powietrze, głęboki oddech i przed nim stoi Ewa, patrząca rozbawionymi oczyma na jego wspaniały, kolorowy szyld. Tak. Oczy są ciemne o granatowych błyskach.

— Czy mogę pani pomóc? — uchylając kapelusza powiedział cicho ale odważnie — czy pani czegoś szuka?

— Nie. Podziwiam. Jeżeli chce mi pan pomóc w tej przecudownej czynności — proszę. Czy nie wie pan, czy właściciel tego wspaniałego szyldu, jest równie błyszczący?

— Jan Dołęga, do usług szanownej pani — kapelusz jeszcze raz spłynął z głowy Jana, a twarz jego, mogąca służyć za cudownie realistyczny w tej chwili model do postaci świętych męczenników, stała się interesująco blada.

— Ach, to pan. Wie pan, wspaniały szyld. I tak dobrze się złożyło, że poznałam jednocześnie właściciela. Biuro pisania podań. To wspaniałe zajęcie. Interesujące. Ale czy nie uważa pan, że za długo podziwiamy?

— Ja podziwiam panią i nie od dziś.

— Czyżby?

— Tak. I chciałbym wiedzieć, czy nie wyrządzam pani tym czegoś przykrego?

A potem daleki spacer przez miasto, jej miasto i miasto Jana Dołęgi, od jutra może ich miasto. Było rozkosznie. Wiosna, wiosna, wiosna a potem Ewa, Ewa, Ewa . .

Rytm jej kroków i jego staje się coraz bardziej podobny. Niepodobna odróżnić. Cicho zapada mrok. Są za miastem, za jego wieczornym zgiełkiem. W mieście też jest wiosna. Ale inna. A tu z Ewą wiosna, jakiej nie było nigdy i gdyby nie nieszczęsne biuro podań i ten nieszczęsny list o miłości, Jan byłby najszczęśliwszy z ludzi. Gdyby nie list . . .

Ale jest już późno. Ostatnie chwile, które chciałoby się przedłużać w nieskończoność.

— Panie Janku, już późno. Niestety, ale muszę pożegnać. Do widzenia!

Nie. Nie ma innej rady. I wiosna już nie jest taka, jaką była przed chwilą. Ulice, domy, przechodnie, to wszystko jest takie, jak co dnia. Szare i nieinteresujące. Ach, ten list.

I śpiewał pan Jan Dołęga poematy rozjaśnione chwilami radosnej nadziei i milknące cieniem zwątpienia. Mówił do swojej Ewy to wszystko, co wymarzył w snach jasnych i tych niedawno przeżytych chwilach, kiedy była tak nie daleką, taką kochaną, z tą podniesioną głową, patrząca na jego cudowny, kolorowy szyld.

I to wszystko pisał w czarnych szeregach niepozornych liter, ucieleśniał marzenia niedościgłe, rojone w rozgorączkowanym mózgu.

„Nie znam Cię Pani, a jednak jesteś mi bliska i potrzebna. Potrzebna jak powietrze, jak słońce. Czy Ty wiesz o tym? Bez Ciebie czas, który muszę przeżywać, staje się ciężarem, który trudno unieść. Zmaterializowany czas. Godziny zdają się składać z setek warstw o twardości stali. Przeżywać je, to znaczy przewiercać każdą po kolei, przebijać każdą z osobna sekundę — cierpieć."

„A kiedy mogę Cię widzieć! . . . Dlaczego nie jestem poetą! Marzenia oddałbym Ci wszystkie, znalazłabyś je w moich oczach, tętniące życiem i prawdą."

„Bylebyś chciała spojrzeć w moje oczy". . .

Gorące, rozdygotane palce uderzały w klawisze maszyny, która zdawała się dziś tętnić innym niecodziennym stukotem. W pokoju o ścianach nierównoległych zakwitła poezja. Kwiat wonny, barwny, ale . . . kwiat tylko. Jutro zwiędnie, spadające płatki objawią zapomnieine i koniec chwil minionych.

Jan podniósł się znużony z krzesła. Tak. Koniec. I w tej chwili wydało mu się, że sprzedał swoją miłość, swoją tajemnicę słodką i tylko swoją i jej lepkim rękom człowieka, który może dobrze zapłacić za list o miłości.

Ręce bezsilnie opadły wzdłuż bioder, głowa pochyliła się nisko.

W mózgu zabrzęczały słowa:

— I ja mam pieniądze. I mogę zapłacić . . .

Zwrot i dwa kroki dzielące Jana od maszyny . . . Moment. Rozdygotane palce wyciągają z walca zadrukowany papier i

. . . a jednak jesteś mi potrzebna i bliska . . .

a potem powoli, powoli ręka wędruje na stół — chwila namysłu — kapelusz, cicho szczęknęły drzwi i ulica i noc i marzenia . . .

* *
*

Godzina czwarta. Maszyna przykryta czarnym ceratowym pokrowcem, niesamowicie błyszczy w szarości pokoju. Jan Dołęga niespokojnie spogląda na zegarek. O piątej spotkanie z Ewą. I może przyjdzie właściciel napisanego listu? Minuty trwają długo. Zdają się nie kończyć. W każdej z nich, zdaje się mieścić tysiąc myśli. Siedem minut po czwartej.

Szelest w okolicy drzwi budzi Jana z zamyślenia.

— Proszę! Ach, to pan.

— Czy list napisany? — i ręka wilgotna i miękka spoczywa w ręce Jana. — Tak? To doskonale! To cudownie!

— Proszę. Pan będzie łaskaw przeczytać i osądzić. Cena... pięćdziesiąt złotych.

A potem wszystko jak z podaniem. Prosto i bezosobowo. A przecież w tym sprzedanym liście jest jego . . . Ewa.

— Tak. Napisany nieźle. Może — oczy stają się wąskimi szparami — może byłoby lepiej gdyby pan wspomniał też i o tym, że ja mam środki. Jestem . . . no mogę sobie na niejedno pozwolić. Wie pan, interesy idą nieźle . . . Ale i tak może jest dobrze. Nie ośmielam się krytykować. To nie moja specjalność . . . I cudownie się złożyło, że nie proszę o spotkanie. Dziś wyjeżdżam. Interesy drogi panie, interesy . . A tak, list zaintryguje, a potem napisze pan drugi . . . i Ewa przyjdzie.

— Jak! Ewa?

— Czy pięćdziesiąt złotych mało może? Pan taki zdenerwowany... Jeżeli się uda, możemy pomówić o gratyfikacji..

— Czy ta pani ma na imię Ewa?

— Ach! Możliwe. Ale pan wybaczy — dyskrecja i do widzenia!

— Do widzenia!

I w biurze pisania podań do władz i urzędów jest znowu cicho. Godzina czwarta trzydzieści, potem piąta i Ewa.

Dokończenie na stronie 14-tej

WŚRÓD WIELKANOCNYCH TRADYCYJ



MNIE TEŻ TAK KIEDYŚ UCZYLI... Mocno trzeba pleść pręcie wierzbowe, bo inaczej rózga do niczego. Dziadunio zajęty pokazowym wykładem dla wnuka, przeżywa — pykając fajkę, przejasne wspomnienia własnej młodości. I on kiedyś słuchał tego z namaszczeniem.



Na prawo: **SPIESZMY SIĘ! JUTRO JUŻ WIELKANOC!** Równiutko powinno się naciąć gałązek brzozowych, by lepiej było splatać z nich „rózgi" i ubierać nimi mieszkanie. Roboty jeszcze dużo, a wieczór niedługo zapadnie... Jutro już Święta!







Na lewo: **JA TEŻ CHCĘ DOSTAĆ ZAJĄCZKA I JAJKO!**

Z zastanowienia pełną miną próbuje mały znawca i smakosz wielkanocnych podarków: może cukrowego zajączka i pisankę, albo może bada czy tego jajka nie warto po nadgryzieniu odstąpić małemu braciszkowi...

Powyżej: **POLICZMY NAJPIERW ILE TEGO JEST!**

Podobno w Wielkanoc zajączki składają w swych polnych gniazdach barwne pisanki... Ale trzeba mieć szczęście, by je odnaleźć. Liczmy, jak dużo nam się trafiło?

Chrystus Zmartwychwstały mocą Swego Bóstwa — to rękojmia odkupienia ludzkości i zadatek jej przyszłego zmartwychwstania, to ideologiczny charakter tryumfu Dobra nad Złem, to festum festorum — święto świąt w całym tego słowa znaczeniu.

W tym jawno zadokumentowanym po wsze czasy zwycięstwie życia nad śmiercią odzwierciedla się, odwieczne prawo natury, budzące wciąż nowy byt z prochów minionych pokoleń, wiodące w słoneczną wiosnę jutra dnie zimowego snu, lodowej martwoty i odrętwienia.

Staropogańskie uroczystości ku czci bogini wiosny Ostary znalazły w pojęciach chrześcijańskich głęboką symbolikę religijną owianą duchem, nowej wiary — wyrosłej z nauk i wskazań Tego, Który z wysokości krzyża wskazał ludzkości drogę ku Prawdzie i Pięknu.

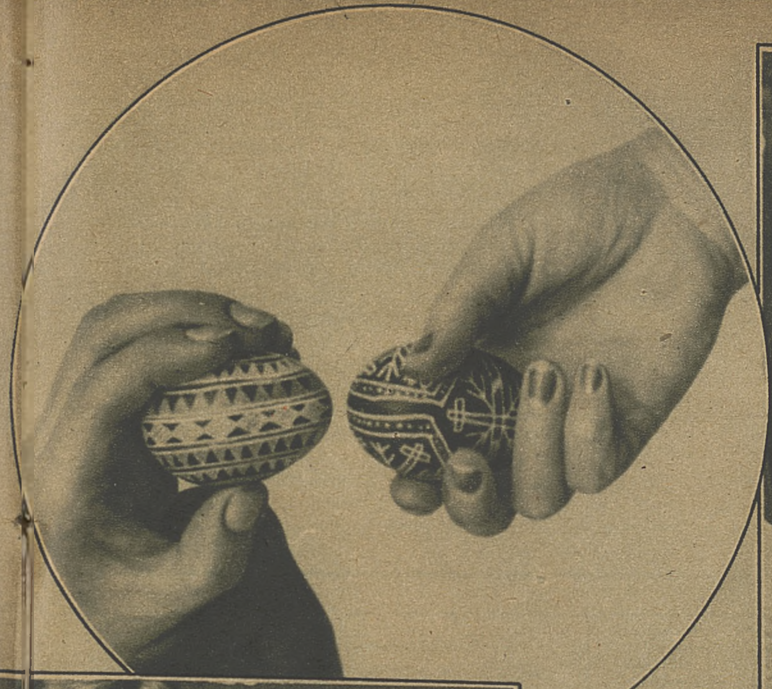
Z biegiem stuleci tradycja Świąt Wielkiej Nocy nie straciła nic ze swej dostojnej powagi i radości, zanikły może jeno częściowo obrzędy odnoszące się do czasu jej trwania, skrócone i przepisami kościelnymi ostatecznie unormowane.

Wiele z tych atoli zamierzchych obrzędów, noszących nalot pochodzenia ery przed-Chrystusowej przetrwało w wielkanocnych zwyczajach i wierzeniach ludowych, będąc łańcuchem łączącym czasy nasze z tą tak odległą epoką.

I co ciekawsze, to ludowe podejście do Wielkamocy nie nosi charakteru jednolitości ogólnej, ale w różnych stronach chrześcijańskiego świata posiada swe odrębne cechy, z których jedynie żmudnymi badaniami porów-

Ciąg dalszy na str. 10-tej

Fot: Eurofot









Powyżej: **KOMU TEŻ LOS MNIEJ DOKUCZY!**

Stuknięcie jajkami o siebie powoduje nadbicie skorupek. Jakże tu nie wróżyć sobie, kto „mocniejszy" na dolę idących dni, gdy albo skorupka wytrzyma, albo nie... Przecie te pisanki już święcone, to i prawdę muszą zdradzić...

Na lewo: **EJ! A WIDZISZ TY!!**

Jeszcze wczoraj wieczorem nie było tu ani pisklątka z waty ani cudnie malowanych pisanek... Pewnie w nocy psotne zajączki przyniosły tutaj te śliczności... Bo jakby inaczej?

Powyżej: **W MILUTKIM TETE A TETE Z ZAJĄCZKIEM WIELKANOCNYM**

Na lewo u góry: **DO KOLORU — DO WYBORU!**

Jest z czego wybrać, to rzecz jasna. Chodzi tylko o zdecydowanie się, które wybrać? I tu sęk właśnie! Wszystkie są piękne i artystycznie wykonane.

Poniżej: **ANO — CZYJE NAJŁADNIEJSZE!**

Wytężona praca nad zdobieniem jaj wre od kilku godzin może... Ale, bo też najudatniejsza pisanka przyczyni słusznej sławy mistrzyni i co najważniejsze, wzbudzi zazdrość konkurentek... A to samo już dużo znaczy!





Obok: **I JAK TU NIE BYĆ ZADOWOLONĄ!** Mama podarowała jej kilka prześlicznych pisanek, którymi zaraz musi pochwalić się przed koleżankami. Tylko źle nieść w rękach, a sukienka ma takie małe kieszonki... Ot, prawdziwy kłopot!

Na lewo: **CZYŻ NIE WSZĘDZIE TAK SAMO!** Pisanki i obok okryte świeżymi pączkami gałązki — toć niejako symboliczne akcesorium Wielkiej Nocy — Święta Przedwiośnia i nowego Życia.

WŚRÓD WIELKANOCNYCH TRADYCYJ

Dokończenie

nawczymi da się wyprowadzić wspólne pochodzenie.

Dowodzi to raz — przenikania wzajemnego kultury z obszaru na obszar i mieszania się pojęć, legend i zwyczajów, z drugiej strony mamy tutaj najwyraźniej do zaobserwowania zdolności twórcze fantazji ludowej, pozwalające na upostaciowanie pewnych symbolów, religijno-moralnych i zasłyszanych gdzieś podań czy opowieści w obyczajach okresu wielkanocnego.

Trudną — lub zgoła niemożebną jest rzeczą ustalenie czasu powstania tego czy innego zwyczaju ludowego — gdy zaś chodzi o wielkanocną obrzędowość ludową, najlepszym tutaj określeniem byłoby powiedzenie „stare — jak świat!"

Zapalanie ognisk wielkanocnych, pochody z zielonymi gałązkami, święcenie wody, sporządzanie pisanek, szukanie po łąkach i ogrodach barwnych jaj — „zamawianie" urodzajów, wróżby i przepowiednie — to olbrzymia księga przyzwyczajeniowego kultu bardzo zmieszanych ceremonij, obchodów, uroczystości i wspomnień ery przedchrześcijańskiej i symboliki kościelnej Nowego Testamentu.

Znanymi są nam bodajże z grubsza nasze wioskowe nastroje i obyczaje wielkanocne. Poszukajmy, i to nie daleko czy identycznych niemal lub podobnych nie ma gdzie indziej.

Dla przykładu, zajrzyjmy w okresie Wielkiej Nocy nad rzekę Schwalm, dopływ Eder'y w prowincji znanego miasta Darmstadt.

Może nigdzie w tej mierze co tam właśnie na pierwszy plan Świąt Wielkanocnych wybijają się pisanki, nieodłączny atrybut dziecięcych igraszek przedwiośnia. Malowanie, ukrywanie ich, poszukiwania i związane z tym lokalne prognozy, to tak bardzo charakterystyczne dla tych stron pojmowanie Wielkanocy.

Symbol odradzającego się życia — jajko, doznaje też niemniejszych „honorów" w jowialnej Bawarii.

Tutaj kunszt zdobnictwa jaj w okresie Wielkiej Nocy stanął na wyżynach prawdziwego artyzmu. Również i pod względem dziecięcych zainteresowań nie stoją pisanki owe w cieniu, ba — są nawet nieodzownym podarkiem dla dzieciarni, wyglądającej ich z utęsknieniem, jak drzewka w wieczór grudniowy... A w pierwszy dzień świąt — kto nie miałby na sumieniu uplecionych z młodych gałązek rózg, służących do „wyganiania" zimy, kto nie zjadłby bodajże kilkunastu do południa jaj, „na twardo", ten nie jest dobrym chrześcijaninem katolikiem i do stołu wielkanocnego siadać mu się nie godzi...

Czy nie wie ktoś, co to są „bazie"? Chyba takiego . . . niedokończonego na umyśle nie ma wśród nas! Wielkanoc bez „bazi", to nie do pojęcia! Nie do pojęcia byłyby tak samo Wielkanocne Święta bez gałązek brzozowych z młodym pączkowaniem na Morawach.

Młodzież ma za punkt honoru ubranie całego domu brzeziną, naciętą wśród wesołego nastroju w Wielkosobotnie popołudnie i trzymaną do „okwitnięcia" w naczyniach z wodą, co znowu ma swe wróżby i zgadywania przyszłych dni.

A wieleż radosnego zadowolenia przeżywa starowina — dziadzio, uczący „wyczerpująco" wnuczka jak należy pleść rózgi, by długo wytrwały i dochowały się aż do przyszłej Wielkanocy!

Wnuczek słucha i pomimo pojętności myśli sobie, że czasem lepiej by było, by rózga nie zanadto długo „wytrzymała"...

Kiedy zaś do wnętrza odświętnie oddychającego domu wpadną promienie bladego jeszcze ale już wiosennego słońca, gdy blask ich przewinie się po ludzkich twarzach i ozłoci zwiewną pieszczotą delikatną zieleń młodziutkich pędów, wówczas coś zakołacze żywiej w duszy i do ust napłynie mimowolnie dziękczynienie — dobrze, że już zima skończyła się, że to już Wielkanoc i Wiosna, a z nią chwała Ci, Panie i Zbawco, Zmartwychwstały Chryste!



Wielkanoc u Wiosny

napisała M. A. HESSEL rysowała J. JACHIMCZAKÓWNA

Szczypie w uszy, szczypie w nosie,
zimno dosyć jeszcze mocne,
a naprzeciw ślicznej Wiośnie
wyszły święta wielkanocne.
Wiosna niesie pęki bazi
a Wielkanoc ma baranki.
Zanim zejdą się — na razie
Słonko z Mrozem poszło w szranki.
Więc za głowy się chwyciły...
zmagają się, co sił w pięści...
Hej, ma Słonko dużo siły!
Hej, słoneczku się poszczęści!!

Ciepło się dokoła dzieje —
dnia przydaje, nocki skróca:
idzie Wiosna, trawkę sieje
i na drzewa zieleń rzuca,
wonne fiołki ciska z rączki,
tańczy lekko nad ruczajem...
i kaczeńce rzuca w łączki,
lub stokrotki w młode gaje.
Poprzez pola Wiosna idzie... ...
A Wielkanoc wokół krąży
wnet będziemy wszyscy widzieć
kto do lasu pierwej zdąży...
Wystroiła się, jak w tany:
biały obrus ma na sobie
a z jarmużu i bukszpanu
świeży wieniec czoło zdobi.



Z Wielkanocą, z uroczystą,
biegną świnki i kurczęta
i baranki — i to wszystko
co na stole jest na święta.

A za nimi osieł wiezie
kufry, kosze, paczek mrowia:
to półmiski i talerze
i świąteczny pyszny prowiant.
Uciekają dni z hałasem...
tu i ówdzie kwiatki rosną...
— aż Wielkanoc tam, pod lasem,
spotkała się wreszcie z Wiosną.
Wiosna czule ją obejmie,
aby z nią zatańczyć w kółko,
potem rzekła jej uprzejmie:
— Śliczna jesteś, przyjaciółko! —
Czy słowami kto opisze
to spotkanie przeradosne?
Las pod niebem się kołysze...
strumyk dźwięczy cudną piosnkę...
rozśpiewały się ptaszęta
aż w świat pieśń ich echo niesie.
Oto Wiosna — a z nią święta!
gość Wielkanoc bawi w lesie!
Ukłoniła się Wielkanoc
i dziękuje w słowach szczerych.
Potem Wiosnę roześmianą
uściskała razy cztery



wreszcie rzekła tak rozgłośnie,
że za lasem słychać wszystko:
— Przyjaciółce mojej, Wiośnie,
dziś urządzę widowisko!
Chodźmy wszyscy ku polance,
bo tam pójdą w zgodne tańce
moje świnki i baranki
i kurczątka — żółte pianki...

Zakwiczały głośno świnki,
że aż wszystkich w uszach wierci:
— Bracia, siostry i kuzynki!
dziś uszłyśmy pewnej śmierci,
uciekłyśmy przecież z miasta,
gdzie zwieziono nas na furze...
bo my chcemy żyć — i basta!
żyć wesoło i najdłużej...
Podziękujmy Wiośnie wszystkie,
że Wielkanoc tutaj gości:
zamiast zdobić gdzieś półmiski
zatańczymy wśród radości! —

Wszystkie świnki i prosięta
biegną szybko w jedną stronę,
by zatańczyć menueta
na polance... na zielonej...
świnki tłuste i różowe
ustroiły w zieleń głowę,
wpięły kwiatki na ogonki
i — nuż tańczyć środkiem łąki...
Wieprz największy, zwan „Grubasem"
przytupuje im obcasem,
dyryguje prawą ratką,
aby taniec poszedł gładko.
Pani „Śwince" „Proś" się kłania,
Dama oczka wciąż zasłania,
bo ją zdawna prosi pono
by została jego żoną.

Zaś baranki biegną cwałem,
jak po niebie chmurki białe...
jak obłoczki ponad ziemią
tak szybują nad zielenią...
Patrzą wszyscy, a na łące
z barankami są zające.
Usłyszały śpiew i krzyk
i przybiegły z lasu w mig...
Wpół się objął pan Futerko,
aż się wszyscy roześmieli
i z radością krzyczy wielką:
— Oto nikt mnie nie zastrzelił...
nikt mnie w occie nie wymoczył...
Długo żyję i pamiętam
że zaglądam śmierci w oczy
w każdy rok, gdy idą święta.
Że uszedłem strasznej zgubie
dziś was poczęstuję za to
tym, co sam najwięcej lubię:
świeżuteńką cud-sałatą!
Lecz nim siędziem jeść do misy —
żeśmy z życiem uszli cało
urządzimy tu popisy,
jakich oko nie widziało... —
Skinął uchem: a z gęstwiny
wnet wyskoczył rój zajęcy.
Nikt nie zliczyłby zwierzyny:
sto ich było, albo więcej...
Nie do wiary, dzieci moje,
co się działo na polance!!
szły zajączków szarych roje
w takie skoki i łamańce...
w takie susy... w cuda figli...
jakby w nich nie było kości!
Aż z przestrachu wszyscy stygli,
aż się zdumiał zastęp gości...

Grubas śmiał się na głos cały
aż pod drzewo się zatoczył...
A jagniątka oniemiały,
choć z nich każde dobrze skoczy;
zaś kurczątka bardzo żwawo
skrzydełkami biją brawo.
Wreszcie popis jest skończony.
Zrywają się krzyki... brawa...
Każdy zając jest zmęczony,
bo to trudna jest zabawa.

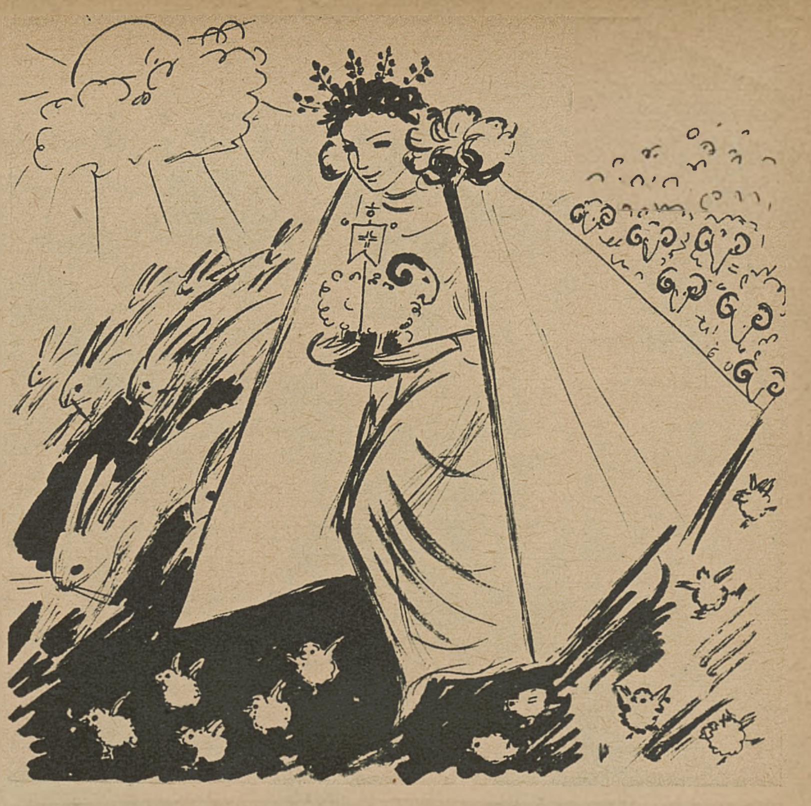
Na kurczątka teraz kolej.
Przystrojono je wspaniale.
Stół stawiają — a na stole
na półmisku będzie... balet!
Tanecznicom — pani Zając
kokardami stroi głowy.
Już kurczątka przefruwają
na półmisek baletowy,
toną w kwiatach, jak w obłoku
ni motyle... ni to ptaszki...
W dziwie patrzą wszyscy wokół
na prześliczne ich igraszki.
„Grubas" oczy wybałusza,
wreszcie chrząknął w wielkim trudzie:
— Coś takiego żadna dusza
nie widziała, moi ludzie! —

Gdy tak wszystkich rozwesela
najwdzięczniejszy kurcząt taniec,
leśna zjawia się kapela
na zielonej — na polanie...
W chór miejscowy się wplątały
również „sławy" zaproszone,
bo jest znany w kraju całym
polny śpiewak — Pan Skowronek!
Lecz najlepszy tenor w świecie:
Słowik — jeszcze jest za morzem.
Bo u nas dość zimno przecież
a on zimna znieść nie może.
Mógłby wszak przeziębić gardło
i na zawsze głos utracić!
A więc, skoro tak wypadło,
nie ma go wśród ptaszej braci.

Zadźwięczały cichusieńko
konwaljowe leśne dzwonki.
Wnet wtórują im piosenką
jaskry, które przyszły z łąki,
a stokrotek pstra gromada
na flecikach gra cichutko.
Kampanulla — bardzo rada —
rżnie na basach grubo... krótko...
Ale najcudniejsze piosnki,
że aż wszystkich dreszcz przenika,
grają fiołki i pierwiosnki
na swych ustnych harmonijkach.
Więc się ozwał chór ptaszęcy
pieśnią cudną i radosną!
Coraz głośniej... coraz więcej...
i Wielkanoc chwalą z Wiosną.

A tymczasem pod drzewami
osieł dźwiga z baranami
stołki, stoły przeogromne,
ile było ich — nie pomnę!
noszą krzesła i fotele,
gości huk: jak na wesele!
Zdjęto obrus z Wielkanocy
i nakryto stół dla wszystkich.
Osieł niesie całe stosy:
szkła, talerze i półmiski,
łyżki, noże i widelce
i kielichów moc na wino.
Aż się biedak spocił wielce,
że mu strumień z twarzy spłynął.
Już walizy, kosze, paki,
otworzono — wydobyto
takie cuda i przysmaki,
że się w nocy chyba śni to!

Ale wszystko fraszka! Bajka!
Czy się święta skończą niczem?
Wszystko jest — a nie ma... JAJKA!
czym się dzielić podczas życzeń???
Grubas płacze od żałości.
Ale wnet ma myśl głęboką.
Radzi mądrze i najprościej:
— Pogadajcie z jaką kwoką... —
Chciały zaraz biegnąć świnie,



ale Wiosna na to rzecze:
— Zając szybciej się uwinie...
jemu kura nie uciecze...
Ale przymus — zły to sposób!
Grzecznie ją zaproście do nas!
Godnie jedźcie, w kilka osób,
by nie była obrażona! —

Więc w karetkę szczerozłotą
zaprzągnięto dwa zające.
Trzeci z bicza trzasł z ochotą —
i już pojazd mknie po łące.
Zajechali z szumem do wsi.
Ot, kokoszka przy kamykach.
Więc zajączek grzecznie prosi,
uchylając melonika:
— Białopióra! Piękna pani!
zechciej wsiąść do tej karocy!
My po ciebie tu przysłani
od Wiosny i Wielkanocy!
ślą ci obie zaproszenie
i szacunku swego słowa...
Czy odmówisz? Myślę, że nie...
Chodź, bo uczta już gotowa! —
Wsiadła pani Kogucińska.
i w poduszkach leży dumnie. —
Znów zajączek lejce ściska
i znów jadą głośno, szumnie!
Przyjechali... zajechali...
radość! krzyki! i tak dalej!
wszyscy z listków kojec robią
i fiołkami cudnie zdobią.
Już zastawy stoją w lesie —
a kokoszka jajko niesie...
dech wytęża — okiem błyska —
Białopióra Kogucińska.
Zniosła jajko, zagdakała
aż się trzęsła ziemia cała...
Radość wokół grzmi głęboka:
— Wiwat jaje! Wiwat kwoka! —
Wnet ognisko rozpalono.
Już bulgoce woda hardo...
Jajko zaraz tam włożono
i gotuje się na twardo.
Próżno by się silić na to
by określić (nie dam rady!)
jak ubrano stół bogato:
Konfitury, marmelady,
i owoce... i pierniki...
różne torty — świetne ciasta —
najdziwniejsze smakołyki,
ot, poprostu raj! i basta!
a rzodkiewki, a sałaty,
a marchewki i kapusty...
bryndze barwne niby kwiaty



i wędzony węgorz tłusty — —
i śmietanki i kakao!
Czyżby się to zliczyć dało?
Pani Świnka ma fartuszek
z liści chrzanu szyty pięknie.
Lecz że ma potężny brzuszek
czekać tylko, jak liść pęknie...
Pomagają jej baranki
i zajączki — bardzo szczerze:
napełniają winem szklanki,
nakładają na talerze...
Kwoce dano garść pszenicy,
łyżkę maku, garniec wody.
Jedzą wszyscy uczestnicy
pod nadzorem dwóch gospodyń:
Wiosny — ślicznej pani domu
i uroczej Wielkanocy.
Obie wiedzą, co dać komu...
Niczego się nie przeoczy.

Wtem Wielkanoc się podnosi
i o chwilkę ciszy prosi.
Wzniosła w górę wina puhar
(każdy patrzy... każdy słucha...),
aż tu toast padł radosny:



— Wiwat Wiosna! Zdrowie Wiosny! —
— Wiwat, wiwat! — wszyscy chórem
z Wielkanocą krzyczą wtórem —
Niech nam żyje, niech hetmani,
niech obrzuca nas kwiatami!
darzy trawką i listeczkiem!
niech całuje nas słoneczkiem!
Niech nam żyje i hetmani!
Wiwat nasza śliczna pani!! —
Wszyscy się zaczęli ściskać.
Całowali się po pyskach...
i po ryjach... i po uszach...
Wiosnę to ogromnie wzrusza,
główkę chyli — uśmiechnięta —
dzięki składa wkrąg radosne,
potem tam, gdzie siedzą święta,
wznosi toast srebrnym głosem:
— Wiwat święta wielkanocne!
Pijmy wino słodkie... mocne...
W górę serca! niech się stanie
nowe świata Zmartwychwstanie! —

Pili wszyscy aż do rana...
wypróżnili flach tysiące...
Nawet Wiosna jest pijana
i baranki — i zające —
i prosiaki — i kurczęta —
Hej, przebrali miarę w święta!

Przyznam się wam dziś na ucho
że i ze mną było krucho:
jadłam, piłam, tak nieskromnie,
że brzuch bolał mnie ogromnie
i nie z chęci, lecz z przymusu
wziąć musiałam ...rycynusu!!
Wstyd mnie spotkał na przyczynek
przy obecnych i przy Wiośnie,
bo mi rzekła jedna z świnek:
— Zachowujesz się, jak prosię... —

Tak mi rzekła!! Nie inaczej!!
Ona — : sama świńskie plemię...
Tyle wstydu i rozpaczy,
że zapadłam się pod ziemię... ... ...

POSZUKIWACZ ZŁOTA W ALPACH

Fot: Eurofot



Powyżej:
W Alpach wciąż spotyka się resztki narzędzi dawnych poszukiwaczy złota. Tu np. widzimy wydobyte przez starca, z lodowca, drewniane koło, które niegdyś odpadło od wozu wiozącego cenny metal.



Na prawo:

RUINY W LODOWCU

W krainie wiecznego śniegu i lodu w górach Hocharn zachowały się jeszcze po dziś dzień resztki dawnej kopalni złota.



W GÓRACH

Okoliczni górale nazywają starego poszukiwacza złota „duchem gór", ponieważ jak wieść niesie, coś straszy w ruinach zamieszkanych przez staruszka.

Na prawo:
Stary poszukiwacz złota stoi na ruinach jednej z dawnych kopalń i duma o jej świetnej przeszłości, lub może tylko zastanawia się w jakim kierunku należałoby prowadzić poszukiwania za cennym kruszcem.



Poniżej:

Jakaż to rozkosz przebywać wśród skarbów odkrytych przez siebie; starzec nie może wprost od nich oczu oderwać.









ŚWIĄTECZNY WIECZÓR
Miło jest spocząć po pracy w niedzielny wieczór i zakurzyć fajeczkę.



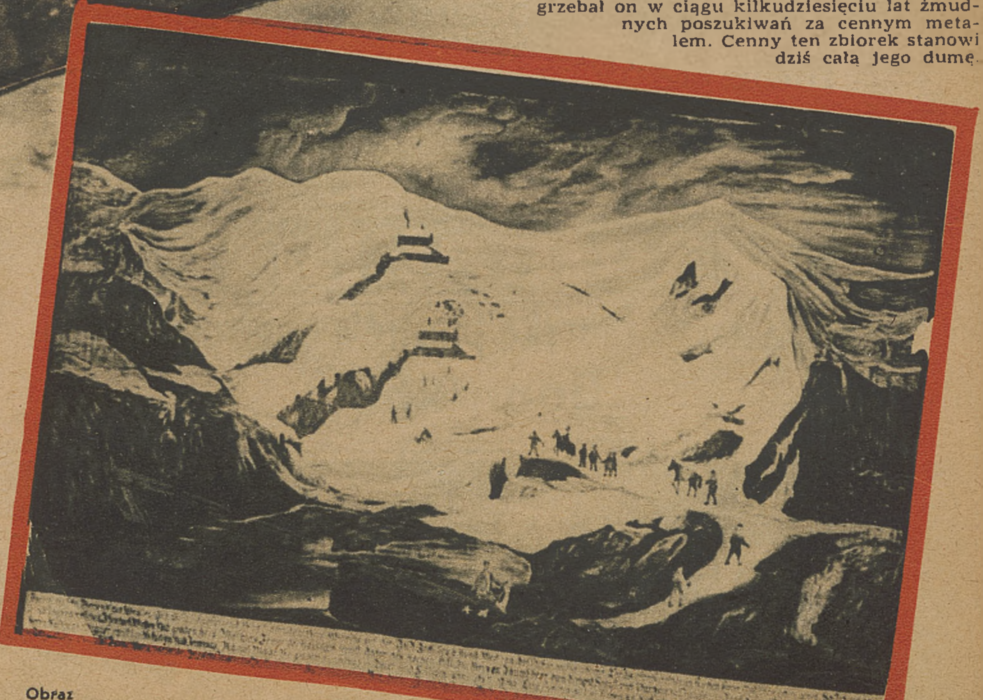
Na prawo:

DUCH GÓR
Mały wenecki posążek wyobraża prawdziwego ducha gór. Niegdyś jego zjawienie się budziło lęk górników, gdyż było zawsze oznaką nieszczęścia.



Poniżej:
Stary poszuki... złota wy... w góry na ... cie nowych ... złota. To... mu ... wie... jaciel

Wschodnie Alpy, których niebotyczne szczyty giną zda się w błękitach, a zbocza pokrywają wspaniałe lodowce, iskrzące się w blaskach słońca — kryją w swym wnętrzu cenne rudy żelaza i ołowiu, a nawet można gdzieniegdzie natrafić na złoto. Skarby te były znane i eksploatowane już około roku 1000 przed Chr. Już starożytni Rzymianie, a przedtem jeszcze Celtowie kopali złoto w Alpach, a wydobywali je przeważnie z łańcucha górskiego Wysokich Turni (Hohe Tauern). Pierwsi poszukiwacze złota, zaopatrzeni jedynie w bardzo prymitywne narzędzia, próbowali szczęścia na wschodnich zboczach Wysokich Turni. W poszukiwaniu za cennym kruszcem przekopywały dalsze pokolenia górników poszczególne grzbiety górskie tego łańcucha, posuwając się zwolna ku zachodowi. Zawieruchy dziejowe oraz duże koszta i trudności transportowe związane z wydobywaniem stosunkowo niewielkich ilości złota alpejskiego spowodowały całkowity upadek tych prac. I chociaż dziś jeszcze mogłyby funkcjonować w dalszym ciągu kopalnie złota w niektórych dolinach Alp, to w innych niegdyś czynnych kopalniach jak np. w Zirknitztal, Rauristertal, Fleisstal i grupie Glockner dobywanie złota nie opłaciłoby się zupełnie z powodu dużych trudności technicznych, gdyż tereny te pokryte sa obecnie częściowo lodowcami. Ślady robót kopalnianych pochodzące jeszcze z czasów rzymskich przechowały się po dziś dzień, zwłaszcza na szlaku wiodącym na Glockner, w postaci ruin tych budynków, koryt itp. W ruinach jednej z tych dawnych kopalń złota żyje ostatni poszukiwacz złota w Alpach. Opanowany gorączką złota, człowiek ten całe swe życie spędził na wędrówkach po górach za wyśnionym skarbem. Dziś rześki starzec nazwany przez okolicznych górali „duchem gór" jest jedynym ekspertem w sprawach kopalnianych w całej Karyntii i dolinie Möll. Wiele bryłek złota wygrzebał on w ciągu kilkudziesięciu lat żmudnych poszukiwań za cennym metalem. Cenny ten zbiorek stanowi dziś całą jego dumę.



Obraz przedstawiający dawne kopalnie złota w Alpach. Wisi on w izdebce poszukiwacza złota.

Dokończenie ze strony 7-mej

Takich dni było wiele. Były to dni piękne i Ewa stawała się coraz bliższa, coraz bardziej konieczna. Godziny przeżywane z dala od niej były puste i szare. Z Ewą: cudowne i bajecznie kolorowe. Spacery dalekie w zieleniejącą wiosnę w towarzystwie jej i towarzystwie szczęścia . . .

Ale, czy trzeba o tym pisać? Wybierzmy się razem z nimi.

Słońce zawieszone nisko barwi świat pastelowo i miękko. W tym świetle Ewa staje się bliską i promieniuje spokojnym ciepłem.

— Czy pan widzi, jakie tu błoto? A moje buty?

— Czy mam panią przenieść, czy mam się obrazić?

— A pan by wolał?

— Nie dam odpowiedzi. Nie chcę burzyć moich złudzeń, pani Ewo . . . A czy wie pani o tym, że jest pani zbyt piękną, aby stawiać podobne pytania?

* * *

Dnie wiosny płyną, stają się cieplejsze i jaśniejsze. Maj. I już nie trzeba mówić pani Ewo. Wystarczy: Ewo. I Jan jest tylko Jankiem. Nie panem i nie właścicielem biura pisania podań. Mówi się teraz tak mało... Ręka Ewy jest ciepła i Janowi wydaje się często, że wymowniejsza niż słowa. Oczy, dwie wielkie gwiazdy, jaśniejące błyskiem, przy granatowej prawie głębi, przy jasnych pszenicznych włosach. I czyż trzeba tu słów, banalnych, śmiesznych, kłamliwych?

Jednakowe dnie tygodnia, oddzielone złotymi słupami niedziel. Można wtedy przeżywać z sobą całe godziny.

I podania pana Jana od jakiegoś czasu są jakieś inne. Ciepłe i bardziej skuteczne. Wszystko jest takie proste i jasne.

A jednak . . . Są chwile, kiedy Jan wie, że między nim i Ewą istnieje jakaś zapora. Właśnie — wie. Nie orientuje się, co tkwi w tym dziwacznym i niezrozumiałym uczuciu. Wszelkie analityczne dociekania, przeprowadzane gorliwie i z zapałem godnym doniosłości zagadnienia, nie dały rezultatu. Ewa jest chwilami bliska, bardzo bliska a chwilami daleka, nie jego Ewa.

* * *

Słoneczne i prawie już letnie popołudnie. Las pachnie żywicą i wilgotną, w głębokim cieniu ukrytą trawą. Tak dobrze jest iść obok siebie, cienistą, leśną drogą. Krągła miękkość ramion, włosy pachnące, błyszczące, są tak bliskie. I nigdy w podobnych chwilach nie czuł potrzeby mówienia o miłości. W ich słowniku, było to słowo używane nieczęsto, albo i wcale nie. Wiedział, a może zdawało mu się, że wiedział, nie pytając. A dziś . . .

„Dziś jest inaczej. Może temu wszystkiemu winien jest list, drugi z kolei, który kocha, kocha i ma środki". . . Poważny, solidny obywatel, zakochany obywatel. Kilka dni temu przyszedł znowu. Też list, tym razem z prośbą o spotkanie. Napisał. Przecież biuro pisania podań i czasem biuro pisania listów. W portfelu szanowanego obywatela były pieniądze i trzeba jednak żyć.

— Ewo!

Zmęczona szybkim marszem, spoczywała, siedząc na ciepłej, nagrzanej trawie. Jan usiadł obok. Chwila milczenia i skupienia.

— Chciałem cię zapytać o coś, o co nie pytałem nigdy. Spacery, wiosna — to nie wszystko. Chciałbym wiedzieć.

— Czy nie uważasz, Janku, że czasem lepiej nie wiedzieć? Czy nie sądzisz, że raczej lepiej, tak, na pewno lepiej, nie analizować, że . . .

Wpółleżąc, oparta na łokciach zagłębionych w miękką trawę patrzyła na wierzchołki drzew, rysujące się ostro i twardo na tle spiętrzonych fantastycznie, białych chmur. I była to ta sama Ewa, którą kiedyś spotkał Jan, podziwiającą jego wywieszkę o biurze pisania podań. I dziś też podziwiała: chmury. We włosach były słoneczne błyski, ale w oczach nie było tej słonecznej radości, która powiedziała Janowi, że Ewa może stać się jego Ewą.

— Tak, masz rację. Ale pewne rzeczy lepiej jest wiedzieć, niż domyślać się ich. Czy nie sądzisz, że tak jest Ewo? — W głosie Jana była prośba, która proszącemu objawia się daleko potem i boli . . . — I chcę zadać ci jedno pytanie i proszę, abyś odpowiedziała szczerze i prawdę. Najgorsza z prawd jest lepsza od niepewności. Czy ty mnie kochasz?

Czy mam napisać wszystko, co kobieta mówi w takich wypadkach? Nie, to nie jest konieczne. Przecież zawsze mówi, że lubi, że o znudzeniu nie ma mowy, może kiedyś da inną odpowiedź, że dziś byłaby ona nieszczera i niezupełnie prawdziwa. A prawda, to wielka rzecz . . .

I to wszystko powiedziała Ewa. Powiedziała, używając może innych słów? Ale, czyż o słowa idzie!?

— Może odpowiedziałabym inaczej, ale prosiłeś o szczerość. Widzisz, dostałam od kogoś niedawno dwa listy. Nie znam człowieka, który je pisał, ale zdaje mi się, że jeżeli kocham kogoś, to tylko ich autora. Poeta i biuro pisania podań . . . A poezja . . .

„. . . jesteś mi bliska i potrzebna. Potrzebna jak powietrze jak słońce. Przeżywać godziny samotnie, to znaczy: cierpieć . . ."

Wpółprzymknięte oczy zapatrzone w wizje.

— Janku!

Nie ma odpowiedzi. Oczy jeszcze nieprzytomne i nieobecne poczynają szukać. Jana nie ma. Jan — nie jest poetą . . .

— Odszedł!?

Spojrzenie na zegarek, błyszczący płaski, nowoczesnym kształtem.

— Tak dziś o szóstej spotkanie z poetą . . .

Dołączony do listu kryształowy flakon „L'Aimant" Coty'ego przyćmiewa woń mokrej trawy.

„KRZYK DZIKICH GĘSI"

(Marta Ostenso)

Trudzą się w dnia karecie pod batem Kaleba
Nienawidzą, kochają w okrutnym mozole,
Pali, chłonie, wyniszcza, nienawistna gleba
Śpi pod słońcem złowrogim lnu błękitne pole.
Czekają na coroczny święty poród ziemi...
Switem wiatr chmury przegna, nocą płoną gaje...
Gdy go ziemia w głąb chłonie, milczkiem patrzą — niemi...
O, Judyto! — o Marku! dla was słońce wstaje!

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



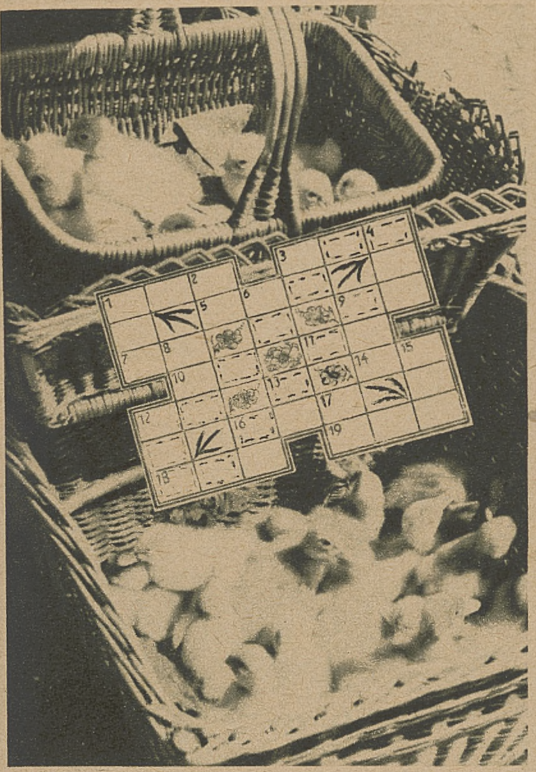
— ....*gdyby jaskółeczką wzlecieć mi do ciebie...*
— *Ach, chciałbym być wtedy dzikim kotem...* Die Woche

— Nie wolno wciąż mówić: ja chcę to, ja chcę tamto. Ile razy mam ci powtarzać, że tacy mali chłopcy nie mają jeszcze swojej woli. Przy odrobinie dobrej woli mógłbyś sobie to zapamiętać.

— W którym dniu świąt państwo przyjmują?
— O, my z żoną wyzwoliliśmy się już z przesądu przyjmowania gości w święta.
— A jak państwo spędzacie święta?
— Ano bywamy na święconym w rozmaitych domach i tak nam te dwa dni schodzą.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA
ul. Nemo



W puste kratki krzyżówki wpisać odpowiednie wyrazy. Kratki obwiedzione kreskami dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

Pionowo: 1. język sztuczny, odmiana esperanta, 2. karta, 3. symbol chemiczny pierwiastka renu (wspak), 4. wschód w języku obcym, 8. gatunek ryby (wspak), 9. dopływ Renu w Szwajcarii, 12. inaczej wezwanie, 13. zatoka Zuidersee pod Amsterdamem (wspak), 15. miasto powiatowe na Mazowszu Pruskim, 16. okrzyk bólu, 17. symbol chemiczny pierwiastka rodu.

Poziomo: 1. Rzeka w Pomeranii (Prusy), 3. ja w języku martwym, 5. pan, tytuł baronów angielskich, 7. jednostka oporu elektrycznego, 9. zaimek (wspak), 10. dwie samogłoski, 11. spółgłoska fonetycznie, 14. stopień gamy C, 16. oaza i góry w Saharze środkowej, 18. stopień pokrewieństwa, 19. gwóźdź z zagięciem.

ROZWIĄZANIE WIRO-KRZYŻÓWKI Z Nr 13.

Wyrazy wirówki: I. urojenie, II. rewident, III. operacja, IV. Karolina, V. widownia, VI. ignorant, VII. ormianin, VIII. sarkofag, IX. narkotyk, X. Yokohama.

Wyrazy krzyżówki: Pionowo: 1. kwiat, 2. kilof, 5. Agata, 6. oranie, 7. orkan, 8. mat, 9. jar, 10. rak, 11. kra, 15. as, 16. er, 17. rura, 19. lord, 21. pędzel, 22. groszek, 23. rzeki, 25. Adana, 26. praca, 27. wybój, 28. bon, 34. Adam, 35. pory, 39. Mazepa, 41. ku, 42. to, 43. mamut, 44. Edwin, 45. Pol, 46. pan, 47. nos, 48. ars, 51. nisza, 52. poker.

Poziomo: 3. Kowno, 4. egida, 8. maj, 10. rok, 12. makata, 13. Afryka, 14. ranek, 18. sir, 20. skup, 22. grad, 24. Rea, 26. pro, 28. banderola, 29. Nero, 30. da, 31. as, 32. Saba, 33. naznaczyć, 36. dea, 37. Rea, 38. opal, 40. kosa, 41. kat, 46. puzon, 49. ambona, 50. oprawa, 53. lin, 54. sos, 55. gazon, 56. Ideal.

ROZWIĄZANIE

Urok Wiosny

Panna Wandzia została przeniesiona służbowo z jednego miasta do drugiego, i po kilku dniach pobytu w nowej miejscowości poszła do kawiarni z poznanym świeżo młodzieńcem.
— Jeszcze przed tygodniem — mówi do niej młodzieniec — ani przez myśl pewnie pani nie przeszło, że dziś będzie siedzieć z nieznanym ci wówczas człowiekiem w kawiarni.
— Nie bądź pan tego taki pewny!
— Jak to, przecie mnie pani wtedy nie znała?
— Tak, ale siebie.

— Wiesz, mężusiu, dzisiaj w nocy miałam niezwykły sen. Śniło mi się, że byłam żoną milionera.
— No, moja droga, to przecież nic nadzwyczajnego, skoro tobie często na jawie też się tak wydaje.



Rozbitek: — Dotychczas przegrałem 117.897 złotych! Jeżeli teraz nadjedzie jakiś okręt, będę zrujnowanym! Rys. Gefischer

Zdenerwowany szef dyktuje stenotypistce list do jednego ze swych wierzycieli:
— Jest pan oszustem i ostatnim nicponiem. O ile w ciągu trzech dni nie zapłaci pan za dostarczony towar, skieruję sprawę na drogę sądową!
— Panie szefie — przerywa stenotypistka — adresat otrzyma ten list w wigilię święta, w Wielką Sobotę, czy nie będzie to pewnym nietaktem?
— No, dobrze — odpowiada szef — w takim razie niech pani dopisze na końcu: — Wesołych świąt!

— A macie już pisanki na święta?
— Owszem, dwie od urzędu skarbowego.

Po świętach wezwano lekarza do państwa Kuszpietowskich. Lekarz znajduje całą rodzinę poważnie chorą.
— Dziwię się tylko — powiada — że najmłodszy synek państwa nie rozchorował się także.
— Bo był niegrzeczny, i za karę nie dostał świątecznego tortu.

W poście powinny być śluby dozwolone . . . bo przecież w poście idzie się na krzyżowe drogi.

— Nie wiesz, do którego zięcia wyjeżdża na święta pani Lucyna, czy do tego, który jest we Lwowie, czy do tego, który jest w Warszawie?
— Nie wiem, ale słyszałem, że jeden radby ją widzieć we Lwowie, a drugi w Warszawie.
— No, no, wyjątkowi zięciowie!
— Ale nie rozumiesz. Ten, który jest we Lwowie, radby ją widzieć w Warszawie, a ten, który jest w Warszawie, radby ją widzieć we Lwowie.

Do naszego redaktora przyszedł przed kilku dniami pewien aspirant do Parnasu z wierszem zaczynającym się od słów:
„Kiedy na wiosnę ptaszki śpiewają,
To marzę słodko i kocham ją ją."
Po oddeklamowaniu słodkiego erotyku z dużym uczuciem, spytał redaktora, czy wiersz mógłby być zamieszczony?
— Mógłby — odrzekł redaktor — ale ze względu na ten szczególny pietyzm dla jaja w pańskiej poezji, chyba tylko w wielkanocnym numerze.

— Ale pan cały pocięty po twarzy. Cóż to za idiota pana golił?
— Ja się zawsze sam golę.
— To w takim razie przepraszam.

— Nigdyś nie chciał mi wierzyć, że mój niedawno temu zmarły wuj był największym skąpcem jakiego ziemia nosiła. Czy wiesz, co on zarządził w swym testamencie?
— No?
— By tabliczkę metalową z jego nazwiskiem zdjąć z drzwi i przyśrubować do trumny.

— Ależ pan ma straszny kaszel. Pan formalnie przy kaszlu szczeka.
— Nic dziwnego przy takiej psiej pogodzie.

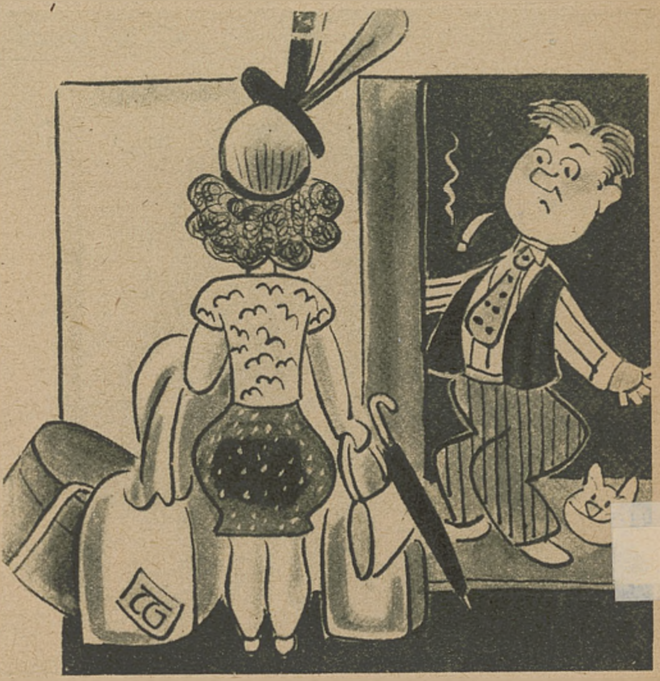
— Przepraszam pana, pan siedzi na moim kapeluszu.
— Jak to, czyżby pan już chciał odejść.

FAJKA

Nie mógł się chłop — to nie bajki —
Chwili obejść bez swej fajki...
Gadka szła po wsioskich gębach,
Że i sypiał z fajką w zębach.
Tak się w fajce chłop zadurzył,
Że ją ciągle, ciągle kurzył.
Aż nieszczęście raz tak chciało:
Chłopu coś się w nogę stało...
I gdy śmierć już szła doń z dala,
Dano chłopa do szpitala.
Tam, rad z siebie, fajką kadzi...
Zaś doktorów grono radzi,
Jakby to najprostszą drogą
Załatwić się z chłopa nogą.
Gdy decyzja wreszcie pada,
Jeden doktór — trudna rada —
Tak do chłopa szczerze rzecze:
— Źle jest z tobą, mój człowiecze... —
Chłop ze strachu zbladł jak chusta,
Wykrzywiły mu się usta,
Stanęły mu włosy dęba,
Zadzwoniła fajka w zębach...
—Źle jest z tobą — doktór gada —
— Urżnąć nogę ci wypada...
Ha, ha, ha, ha — chłop wybucha,
Aż doktorom brakło ducha;
Znów mu humor dawny wraca,
Do doktorów się więc zwraca:
— Urżnąć nogę?... Rżnijcie!... Bajki!...
— A ja zląkł się gwoli — fajki,
— Byście mi jej nie zabrali,
Bobym bez niej nie żył dalej...

— **la** —

— To jest twój nowy tatuś, Helenko — przedstawia rozwiedziona mamusia drugiego męża swej pięcioletniej córeczce.
— Ach, mamo, ten stary był przecież jeszcze całkiem dobry.



— *Wracam znów do ciebie, Zygmuncie, gdyż z moją matka także się pokłóciłam.* Die Woche

KĄCIK KARYKATURZYSTY



— *O której godzinie mam wejść do pokoju pana barona, by go obudzić?*
— *Nie martw się Kasiu, ja zadzwonię na ciebie, gdy będę jeszcze w łóżku leżał...* Rys. P. Sum — Warszawa

Na hali...

..już osypało się halne zbocze
puchem z szmaragdu i słońca jaśnią...
Na tych zieleniach gromady owcze
z przełaski Stwórcy znowu się pasą — — —

a wiosna patrzy słonecznym okiem
przez cudny obłok biało-srebrzysty,
jak białe owce (ziemskie obłoki...)
cud oznajmiają przestrzeniom czystym.

Całuje słońce oblicze ziemi
i swój promienny śmiech śle juhasom!
W nowozrodzonej bujnej zieleni
pod białą chmurą owce się pasą...

...i cicho stąpa tajemny Chrystus,
na szyjach owiec dzwonki rozbujał—:
pośród wiosennych świeżych rozkwitów
cudne i srebrne drga „ALLELUJA"...

Krysta Opalińska

